Nr. 31 (1541) Warszawa, 30 lipca 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Goście słowiańscy w Krakowie.

Dni grunwaldzkie w Krakowie nie były świętem słowiańskim. Fakt dziejowy, którego rocznicę święcono, nie nastręczał bynajmniej sposobności do cementowania jedności słowiańskiej, dla której — jak wykazały ostatnie chybione próby — braknie jeszcze dziś odpowiedniego gruntu i warunków.

Przed 500 laty na polach Grunwaldu stanęły do walki nie dwie rasy, lecz dwa światy, dwa polityczne kierunki. Prąd zaborczy reprezentowany przez obłudny Zakon, oparty o zjednoczone potęgi średniowiecza, cesarstwo niemieckie i papiestwo,—rozbił się o mur obronny dobrowolnej koalicji zagrożonych ludów, poręczających sobie wzajemnie niezawisłość na zewnątrz przy wewnętrznej wolności i równouprawnieniu. Litwinów z Polakami nie łączył żaden węzeł rasowy lecz instynkt samoobrony wobec wspólnego niebezpieczeństwa i wspólna myśl polityczna. Tym samym pobudkom zawdzięczaliśmy poparcie Czechów i Rusi. Węzeł braterstwa zadzierzgnięty na polu walki okazał się trwałym, a myśl polityczna płodną. Monarchja Jagiellońska była ośrodkiem potężnego związku ludów, które odparłszy atak kulturtraegerskiej a drapieżnej potęgi, zdobyły i rozwinęły bujną kulturę własną i daleko na wschód rozniosły jej promienie. Rolę politycznego pośrednika między Zachodem a Wschodem, między cywilizowaną Europą a Polską po raz wtóry w dziejach, w tej dobie, odegrali Czesi. Polsko czeska przyjaźń ma dobre i stare tradycje; warto je czasem odświeżać i do nich powracać. Niema to jednak nic wspólnego z żadnym slawizmem starego czy nowego stylu, a okrzyki „na zdar!" którymi pozdrawiano Czechów w Krakowie, były uzasadnione tradycją bohaterskich walk Żyżki, prądów myśli wyzwoleńczej płynącej w owym czasie z nad Wełtawy i budzących życie duchowe w państwie Jagiellonów, dzisiejszym rozkwitem bujnej kultury demokratycznej tego krzepkiego ludu — nie zaś niefortunną propagandą pana Kramarza.

Nie miał również słowianofilskiego podkładu szczery entuzjazm, z jakim przyjmowano gości rosyjskich. I tu węzły gorącej sympatji zadzierzgnęły się nie na rasowym lecz na idejowym tle. Polacy umieli zawsze cenić swoich „przyjaciół Moskali" a ponad krwawą rzeką, która rozdzieliła oba narody, przerzucali mosty pojednania wsparte na filarach wolności i braterstwa. Bardzo często łuki tych mostów okazywały się tylko barwną tęczą marzeń i złudzeń, a wolność i braterstwo grą promieni słonecznych, przeświecających przez gradowe chmury. Nigdy jednak zawody doznane nie zabijały nadziei w przyszłość, a wiara w odrodzenie Rosji, która przyświecała bohaterom walczącym: „za naszą wolność i waszą", emigracji kojącej swe bóle mistyczną zapowiedzią królestwa bożego, w powszechnym braterstwie ludów, rozbłysnęła łuną w wiosennej dobie 1848 roku, przetrwała noc czterdziestoletnią i znowu zajaśniała na horyzoncie w pamiętnym roku burzy, co wyrzuciła na widownię *młodą Rosję*, jej dążenia i ideały.

W gościach rosyjskich, w szczególności w osobie Rodiczewa, witano w Krakowie przedstawicieli tej młodej Rosji, dziś bezsilnej — jutro może tryumfującej, która w przyszłości ziścić może w pewnej mierze dążenia nasze w polityce.

Póki odrodzenie Rosji leżało wyłącznie w dziedzinie utopji i było rodzajem wizji przyszłości, dostarczać mogło tylko wątku do poematów mistycznych i wieszczych przepowiedni. Z chwilą, gdy zaczęło przybierać konkretne choć ułamkowe kształty, stało się punktem wyjścia politycznego programu. Między

programem a ideałem zachodzą zawsze wielkie różnice granic i masy. Pierwszy jest ciaśniejszym lecz bardziej skondensowanym, drugi swe bezbrzeżne rozmiary okupuje mgławicową niepochwytnością.

Myśl polityczna, która demokrację polską zbliżyła do młodej Rosji, a którą Rodiczew sformułował w liście otwartym do Sieroszewskiego, nie jest ideałem lecz programem. Cała jej wartość polega na widokach realizacji. Sieroszewski próbował porwać Rodiczewa na skrzydła i unieść w dziedzinę ideału. Nikt się nie zdziwił, że zaczepiony w ten sposób gość nasz odmówił udziału w tej podniebnej wycieczce. Zrozumieliśmy wszyscy, jakie niebezpieczeństwa kryje ten wzlot z pasażerem — dla pasażera, który zresztą może mieć własne racje, gdy chce chodzić wyłącznie po ziemi.

Rozumiemy i to, że ścieżka, którą obrał, już sama przez się dość jest ciernista i pełna wyboi. Rzecznik autonomji Polski w reakcyjnej Dumie, która jednym energicznym giestem skręciła łeb stuletniej samoistności Finlandji, musi mieć nielada odwagę cywilną, spory zasób idealizmu i szczerego patryjotyzmu, by znieść mężnie pociski i kamienie, jakie na niego padają.

Mówimy umyślnie o patryjotyzmie, gdyż nie wątpimy, że Rodiczew przyjmując program autonomiczny jako podstawę do rozwiązania kwestji polsko-rosyjskiej w obrębie Rosji, działał nietylko pod wpływem poczucia sprawiedliwości, lecz w głębokim przekonaniu, że na tej drodze najlepiej służy dobrze zrozumianym interesom swej własnej ojczyzny.

Pobyt w Krakowie powinien go był umocnić w tym przekonaniu, choć może bardziej niż walki staczane w Dumie wykazał wszystkie trudności i komplikacje sprawy, której broni.

Uderzyć go musiała przedewszystkim rażąca przepaść między warunkami życia autonomicznej Galicji w konstytucyjnej Austrji, a tym wszystkim, na co patrzy we własnej ojczyźnie.

Już sam fakt, że obchód grunwaldzki przybrał tak imponujące rozmiary mimo stawianych mu przeszkód, ilustrował dosadnie miarę swobód, jakiemi cieszą się autonomiczne kraje austryjackiej monarchji. A mimo, że te porządki trwają już lat 40 ci, państwo się nie rozpada, lecz rozwija i wzmaga na siłach; — wewnętrzna jego gospodarka się doskonali, poziom kulturalny podnosi. Lud polski, ten sam lud, który 60 lat temu za lada zbrodniczym podszeptem chwytał się noża i krwawe urządzał pogromy, dziś w podziw wprawia cudzoziemców swem wysokiem uspołecznieniem i uświadomieniem, swą ogładą i dostojnością. Tak dobrze wychowanego tłumu jak ten, który zapełniał w dniach grunwaldzkich ulice Krakowa, niejeden z gości nigdy nie widywał. Osławione przez Niemców „polskie gospodarstwo" również zadało kłam wszystkim zarzutom i potwarzom. Wzorowy porządek na kolejach, wzorowy spokój na ulicach, wzorowe bezpieczeństwo osób i mienia świadczyły, że polska administracja może być znakomitą, choć sprężystości swej nie opiera na policyjnych szykanach.

W atmosferze wolności dojrzewa poszanowanie prawa; na tle ucisku krzewią się anarchiczne instynkty, a samowola z góry hoduje barbarzyństwo u podstaw.

Galicja nie jest bynajmniej rajem ziemskim; znamy dobrze wszyscy jej choroby i bolączki. Jest jednak krajem, który żyje i rozwija się normalnie, zwolna, lecz stale dźwigając się o własnych siłach z niemocy i zastoju, w której grzęzła w obrębie centralistycznej Austrji.

Między monarchją habsburską z przed 1867 roku, a dzisiejszą Rosją jest niemało analogji. Jak będzie wyglądała jutrzejsza Rosja?—Wszystko zależy od tego, czy zagadnienie to rozwiąże Rodiczew na wzór jagielloński, czy Bobryński wedle krzyżackiej recepty.

M.

Remy de Gourmont.

Listy poufne do młodego pisarza.

Przełożył W. RZYMOWSKI.

Nie zraził cię zgryźliwy ton, przyznaję, nieco przykry, mego ostatniego listu i, na ten raz, rozbroiłeś mnie pokorą; zastrzeżenia i wątpliwości nie podcięły twych zamiarów; owszem, dodały im ognia i wyrazistości; czując, że jestem ci potrzebny, gotów jesteś znosić odemnie wszystko; nie uląkłbyś się nawet kijów, gdyby razy w tym wypadku były skuteczne; zdajesz się uwielbiać usta, które, śród goryczy zniewag, uronić mogą, nakształt kilku kropel pachnącego miodu, kilka rad zbawiennych: — taki stan ducha, jeszcze raz to przyznaję, wzruszył mię i przejednał. Odgadłem rolę podatną pod siew. Biorę tedy pług i będę siał. Otwieraj się rolo młoda, skiba za skibą, bierz ziarno w siebie i bądź plenna!

I.

Skoro odbyłeś już pewne studja przygotowawcze do szlachetnego zawodu pisarskiego, tedy zapewne nie będzie to dla ciebie tajemnicą, że świat, do którego wchodzisz jest przedmiotem głębokiej pogardy ze strony tych, którzy w nim żyć muszą i stanowią jego ozdobę. Spotykałeś się ze zdaniem, że świat ten jest niczym więcej, jak tylko kościołem nieponiów, zbiorowiskiem domów rozpusty, przybytków nierogacizny i salonów deklamacji. W zdaniu tym sporo tkwi przesady; sam to rychło spostrzeżesz, przychodząc do przekonania, że posiadając zgrabny garnitur, lakierki lśniące, nieprzemakalne rękawiczki oraz kapelusz, który „nie lęka się niczego" ani deszczu ani obelg, ani gradu ani kłamstw, ani śniegu ani śmieci strącanych z balkonu, — można w nim żyć wcale znośnie; może gdzieindziej znajdą się stanowiska bardziej malownicze i niebezpieczne, wszakże dla ludzi rozsądnych i praktycznych niema stanowisk pożądańszych; niema miejsc, gdzieby lokata towarów była równie łatwa, a zbyt równie zyskowny.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Traktat rosyjsko-japoński zaprząta wciąż jeszcze uwagę świata i wywołane przezeń poruszenie zatacza coraz większe kręgi. Prawdopodobnym się staje, że Ameryka Północna upomni się o należne sobie miejsce na Pacyfiku, rzucając na szalę narazie tylko pokaźną wagę swoich dolarów, bardzo w Chinach popularnych.

Ze swej strony Niemcy, które już teraz wysyłają do Chin całe zastępy swoich instruktorów wojskowych, zapomniawszy gruntownie o „żółtym niebezpieczeństwie", skłaniają gorliwie rząd państwa Niebieskiego do czynnego protestu. Kanwą do nieustających zatargów posłuży polityka kolejowa w Mandżurji, gdzie interesa Japonji i Rosji z jednej, Niemiec i Stanów Zjednoczonych z drugiej strony, w zupełnym są przeciwieństwie. Dwa pierwsze mocarstwa pragną istniejące linje kolejowe wziąć w wyłączne posiadanie, pod ochroną stosownych ceł i taryf, dwa zaś drugie widziałyby chętnie na Dalekim Wschodzie wolny zupełnie handel i rozwój kolei we wszystkich kierunkach.

Jednocześnie Austrja sposobi się do zawarcia ścisłych z Turcją porozumień, a to w celu zgodnego przywitania Rosji, wkraczającej na teren bałkański z zabezpieczonymi od Wschodu plecami...

Obserwując powyższe ruchy na szachownicy politycznej poznajemy głośną partję, zagraną przed 2 laty przez doświadczonego gracza, nieboszczyka Edwarda VII-go. Ten ostatni nie wahał się zerwać radykalnie z tradycją klasycznej brytańskiej dyplomacji i zawrzeć z Rosją porozumienie na tybetańsko-perskiej przełęczy. Traktat rosyjsko-japoński stanowi jakby przedłużenie, lub jeśli kto woli, *uzupełnienie* tamtego manewru, który okazał się *niedostateczny* i celu nie osiągnął. Anglja odstąpiła Rosji pół Persji, aby za tę cenę zyskać na terenie europejskim czynnego kompansa i pomocnika w zapasach z Niemcami. Dyplomaci angielscy zabezpieczyli niedźwiedziowi północnemu tyły i pchnęli go na widownię bałkańską, aby spowodować popłoch w Trójprzymierzu. Tymczasem spodziewany efekt spełzł na niczym: wiadome w sprawie Bośni i Hercegowiny *fiasco* dotknęło pośrednio i Anglję... Wówczas politycy angielscy postanowili usunąć drugi szkopuł na Dalekim Wschodzie i za ich radą pogodzili się na krwawych polach Mandżurji i Korei wczorajsi zapaśnicy.

— Teraz już chyba niedźwiedź nastąpi na Bałkany — zacierają dłonie Anglicy, mrugając porozumiewawczo ku Francji. Czeka ich i tu rozczarowanie. Zachód przecenia sprawność rosyjskiej machiny państwowej, która dziś ani na jotę nie jest lepszą od czasu Mukdenu i Cuszymy. Raczej przeciwnie. W r. 1904 była pewność siebie i buta żołnierska; obecnie niema ani pewności ani buty, ale niema też zapowiedzianych reform. A nadto zbyt głęboko wrosły w Rosję wpływy niemieckie, zakorzenione 200 lat temu i sięgające szczytów hierarchji...

Niemcom zależy na tym, aby Rosja była zdezorganizowana i słaba, podobnie, jak zależało im na utrzymaniu abdul-hamidowej Turcji w stanie ciągłego gnicia... Potrzeba gruntownych zmian wewnętrznych, albo silnego wstrząsu od zewnątrz, aby ta suggestja giermańska spadła z mitycznego Ilii Muromca, pogrążonego w gnuśnym śnie...

Tymczasem uwidocznia się fakt jeden, niezaprzeczony: Rosja od r. 1905 przestała być *czynnikiem samodzielnym* na widowni politycznej, a natomiast rozpatrywaną być może, jako olbrzymia, ale bezwładna bryła, którą sąsiedzi usiłują cisnąć sobie wzajemnie na głowy i w tym celu odpowiednie czynią zabiegi.

* * *

Obok umowy rosyjsko-japońskiej zwraca powszechną uwagę nieuniknione już przesilenie w niemieckiej socjalnej demokracji. Wolnomyślny rewizjonizm stanie rychło do walnej rozprawy z ortodoksją klasową, której ewentualna porażka nie będzie dla nas niespodzianką, a tem mniej przykrą niespodzianką.

W zajściu na sejmie badeńskim niektórzy widzą już przygrywkę do przyszłej batalji. Zajście tak się przedstawia: liberalny minister spraw wewnętrznych, Bodman, przedłożył Sejmowi badeńskiemu nową ordynację gminną, bardzo dla robotników korzystną. Zachowawcy i klerykali zamierzyli zgodnie ordynację tę *obalić*, a gdy to się im nie powiodło, postanowili ukarać rząd przez *odmówieniu mu budżetu*. I niewątpliwie nazbyt postępowy minister musiałby ustąpić, gdyby skrajna lewica, wbrew dyscyplinie dogmatycznej, głosując *za budżetem*, nie pokrzyżowała planu zjednoczonej reakcji.

Za to jednak sypnęły się gromy klątw i potępień na zuchwałych kacerzy. *Osservatore Romano*—pardon! *Vorwaerts*, zapowiedział rzetelny z nimi porachunek na najbliższym zjeździe partyjnym. Ale można przypuszczać, że bilans tego porachunku nie w smak pójdzie berlińskiemu organowi.

Istotnie. Taktyka „nieprzejednania" wobec ra-

II.

Co do samego towaru, to niedużo w szczególności mam do nadmienienia. Ażeby zdobyć towar, nie trzeba ani pieniędzy, jak w handlu, ani pracy lub talentu, jak niegdyś w literaturze; dzisiaj potrzeba jednego — zręczności: zręczności i jeszcze raz zręczności. Wyobraź sobie stary, rozłożysty orzech, obarczony mnóstwem pięknych owoców zielonych; i niechaj, dajmy na to, gospodarz sam zajęty będzie daleko gdzieś radleniem buraków albo młócką zboża: wystarczy ci pręt lub tyka, może nawet kamyk, aby nastrącać do swych stóp orzechów zielonych co niemiara. A potym, chodzić już będzie tylko o to, aby je ze skórki zielonej obrać, nie zabrudziwszy palców; powiadają, że jest to sprawa bardzo trudna i „że zawsze coś tam na rękach pozostanie": nie przeczę, że to jest rzecz trudna, ale, gdyby palce uległy splamieniu, — od czegóż są rękawiczki? zresztą, wspominałem ci już o ich użyteczności.

Poniżej, rozproszone po rozdziałach następnych, spotkasz inne jeszcze uwagi, dotyczące towaru, który, ostatecznie, składać się będzie z tego, co uda się tobie skraść u bogatych lub ubogich, śród drzew lub cierni; nie przypuszczam bowiem, abyś z natury swej posiadał coś więcej po nad zmysł praktyczny i przebiegłość; inaczej, nie żądałbyś rad odemnie, ani byś też ich potrzebował.

III.

„Umieraj bogaty" — głosi przysłowie. Aforyzm to godny co najwyżej skromnego handlowca. Pomyśl, mój drogi, że ty wejść masz do wysokiego przemysłu i postaraj się o hasło chlubniejsze, a zarazem bardziej licujące z korporacją, która się przed tobą otwiera. Ja, ze swej strony, polecam ci następujące, podzielone na dwie połowy i ogarniające zarówno teraźniejszość, jak przyszłość: „żyj bogaty! umieraj spasiony!" Godło takie, prócz dwojga znaczeń zupełnie jasnych, zawiera nadto trzecie, ezoteryczne i cudowne: poprzestanę atoli na wskazaniu ci ścieżki; dodam tylko: tusza bywa zaczątkiem sławy. Prawdopodobnie sławy nie osiągniesz nigdy, jakkolwiek obiecująco uśmiechać się mogły przykłady kilku współcześników naszych, którzy rozpoczynali zawód, mniej posiadając od ciebie talentu, i nie większą, od twojej, obdarzeni wolą; wszelako, przy właściwym systemie, słusznie rościć możesz pretensje do tuszy; nie jest to rzecz do wzgardzenia w naszych czasach, gdy tylu biedaków ginie z głodu.

dykalnej demokracji mieszczańskiej, dotychczas stosowana przez berlińskie sfery kierownicze — wydała fatalne owoce. Reakcja panoszy się wszechwładnie, zaś szachowane z dwóch stron żywioły postępowe rezygnują z nierównej walki. Czarne bractwa junkrów, hakatystów i klerykałów hulają zwycięzko po ugorach niemieckiej myśli politycznej, wyjałowionej doszczętnie i rozmyślnie przez niepoprawnych i ciasnych doktrynerów. Oni też—junkrzy, hakatyści i centrowcy, błogosławić winni ów postokroć nadużywany dogmat marksizmu — i oni też pierwsi uderzyli na trwogę wobec manewru socjalistów badeńskich, czując w tem kres długotrwałej swej gospodarki.

Bo nie ulega kwestji, że obnosząc stereotypowy frazes rewolucyjny po wiecach ludowych, marksiści starej daty odgrywali jakąś paradoksalną rolę *czynnika konserwującego* obecny stan rzeczy. Frazesów rewolucyjnych nie boją się już oddawna junkrzy pruscy, zwłaszcza po ostatnich wyborach, przekonawszy się, że następuje po nich nie *czyn*, ale... nowy frazes. Poczęto podrwiwać z apokalipsy przewrotowej, co jest już niedobrym znakiem. — „*W razie niepogody rewolucja odbędzie się w sali*" — ogłaszał dowcipny *Simplicissimus* w przeddzień 1-go maja. Trudno o lepszą satyrę na scholastycyzm rewolucyjny, co wybujał przy kuflach piwa, podczas gdy olbrzymie pole doraźnej, żywej pracy leży odłogiem... Te smutne w dziejach socjalizmu stosunki mają się ku końcowi; życzyćby należało w interesie postępu wszechludzkiego, a *sprawy polskiej* w szczególności, aby Niemcy przestały być państwem u góry junkierskim, a socjalistycznym u dołu, a natomiast, by stały się postępowymi Niemcami.

Idea monarchiczna w Anglji.

W rozwoju politycznym narodów teorje grają znacznie mniejszą rolę niż fakty. Są one właściwie głównie usystematyzowaniem doświadczeń dziejowych i niezmiernie często chybiają, gdy wnioski wysnute z przeszłości czynią podstawę do horoskopów na przyszłość.

Najciekawszym terenem politycznego empiryzmu jest Anglja, która dostarczyła najbogatszego materjału dla teorji politycznych lecz sama najmniej teoryzowała. Nie troszczyła się ona ani o dostosowanie życiowej praktyki do jakiejkolwiek doktryny, ani odwrotnie o dorabianie doktryny do życia, ani nawet o syntetyzowanie swej ewolucji. Jej prawo nie jest skodyfikowane, jej konstytucja nie jest ujęta w żadną systematyczną całość. Żyje i przetwarza się nieustannie; tkwi w obyczajach, tradycjach, przeobraża się lub konserwuje siłą opinji publicznej, przystosowuje się doraźnie do każdego zagadnienia politycznego, które rozwój dziejowy na porządek dzienny stawia.

Dziś obserwujemy tam ciekawe zjawisko: naród, który wyprzedził inne w ograniczeniu władzy monarszej, stopniowo rozszerzając prawa i swobody obywateli, który pierwszy w Europie złamał absolutyzm, wywołując swym przykładem potężny ruch antymonarchiczny, rozniecony po całym kontynencie przez sąsiada i naśladowcę z drugiej strony kanału, obecnie przeszedłszy całą kolej swych specyficznych ewolucji, wskrzesza na nowych podstawach ideę królewskości. Co jeszcze osobliwsze, owo odrodzenie idei monarchicznej okazuje się nieuchronną konsekwencją systemu rządów liberalnych, przeprowadzanego niezmiennie i na szeroką skalę w całej wewnętrznej i zewnętrznej polityce Zjednoczonych Królestw.

Wiemy, że Anglja jest w wyższym dziś stopniu niż republikańska lecz centralistyczna Francja klasycznym krajem wolności. Zasadę decentralizacji stosuje ona w jaknajszerszym zakresie konsekwentnie i niewzruszenie we wszystkich sferach swego politycznego życia, w szczególności zaś w swym stosunku do kolonji. Klęska poniesiona w XVIII wieku w walce ze Stanami Zjednoczonymi nauczyła ją, że jedynym środkiem, zabezpieczającym od utraty zamorskich posiadłości, jest dobrowolne zrzeczenie się bezpośrednich nad nimi rządów, a obdarzenie tych krajów wolnością czyni zbytecznymi walki o niepodległość. Dzięki tej mądrej polityce podbija i zagarnia, nie ujarzmiając ich, coraz nowe ziemie i staje się niby wielką federacją państw samoistnych, z których każde obszarem przewyższa metropolję.

Wyraz federacja nie dość ściśle określa subtelny i luźny węzeł, łączący te państwa w jedną całość. Mówi on za wiele. Federację stanowią Stany Zjednoczone, które mimo swej wewnętrznej samodzielności posiadają wspólny silny rząd i wspólną konstytucję, podczas gdy Australja, Rzeczpospolita południowo afrykańska, Kanada są całkiem pozbawione centralnych organów władzy. Niema żadnej ogólnej ustawy, któraby określała i regulowała stosunki wzajemne między tymi cząstkami składowymi brytańskiego imperjum a jego metropolją.

Co zaś do gotówki, której potrzebować będziesz odrazu, nim zyskasz miejsce zbytu na swój towar, to nie radzę ci ani giełdy, ani szantażów; zbyt wielkim grożą one ryzykiem, a przytym wymagają doświadczenia, jakim ty, mając lat 18, nawet przy swej dojrzałości, rozporządzać nie możesz; otóż — zasadę tę najgoręcej uwadze twej polecam — wszelki krok, który na poważny szwank wystawić może zdrowie, wolność albo reputację, uważać należy za niemoralny i usunąć z pola możliwości. Przestrzegaj pilnie zasady owej w życiu! uchroni cię ona od wielu strapień, zbawi od rozbicia, które czyha na osobników nawet tego rodzaju, do którego ty się zaliczasz.

Lecz tobie troski pieniężne nie grożą; żyjesz w dostatku, jak wszyscy twoi młodzi rówieśnicy. Jak oni, jesteś dzieckiem rodziców, którzy pobrali się w przeddzień starczego uwiądu i niemocy; odziedziczyłeś po nich schedę pokaźną jeszcze w dzieciństwie, i opiekun twój niebawem zda ci z niej rachunek. Rzecz prosta, iż nie będąc człekiem zamożnym, nie marzyłbyś o trofeach literackich; śmieszny zawód pisarza, zmuszonego na życie zarabiać, nie może nęcić młodzieńca dobrze urodzonego; blizki nawet jestem mniemania, że wszyscy owi poeci ubodzy (znani z historji lub legiend) tylko przez ciasnotę umysłu poddali się konieczności umiłowania sławy ponad skarbonę, stawienia posępnych odwiedzin muzy ponad poważne stanowiska w życiu. Utwierdza mnie w mym przekonaniu to, iż wszyscy młodzieńcy, na których pierwsze kroki patrzyłem w ciągu 5 — 6 lat ostatnich, wybierali (jak sami mówili) literaturę tak, jak wybiera się handel miły i zyskowny; nie kierowali się bynajmniej powołaniem: nie rozporządzając środkami, nie szukaliby zajęcia, które, aby przynosić mogło dochód, wymaga kapitału. Ci, którzy na Parnasie żyją jak samotnicy, jak wolne włóczęgi, nie obchodzą mnie wcale; nie grozi ci spotkanie z nimi w tym świecie, w którym ty będziesz kwitnął; jest to cała literatura, Literatura Inna, o której wspominać nawet się nie godzi.

IV.

Jakiego rodzaju książki masz czytać? — Poważne i rozmaite. Czytać będziesz wszystko, co niesie fala powodzenia, przedewszystkim zaś autorów nowoczesnych; dawniej bowiem zasługa i powodzenie często chodziły w parze z sobą; dziś natomiast pierwszy z wyrazów owych wyzbył się całkiem określonego znaczenia: niekiedy uchodzi on w ustach księgarzy lub kry-

Każde z tych państw samo nadaje sobie konstytucję, reformuje ją lub obala; posiada własny parlament, ministrów i urzędników. Oto jak określa ten stosunek p. Sidney Low w *English Review*: Poza koroną niema żadnego innego formalnego łącznika, żadnej władzy wspólnej dla brytańskiego cesarstwa. Obywatele samorządnych kolonji widzą w parlamencie obradującym w Westminsterze jedynie izbę prawodawczą dla wysp Wielkiej Brytanji, taką, jak parlament w Otawie dla Kanady. Obie te władze posiadają równy autorytet, a żadna z nich niema prawa wkraczać w sferę działania drugiej. Ministrowie również nie mogą rościć pretensji do roli doradców korony w sprawach dotyczących zamorskich państw króla. Hypoteza, że pierwszy minister króla angielskiego i jego sekretarz państwa mogą w polityce kolonjalnej grać rolę doradców, dziś mało ma zastosowania, a w przyszłości wcale go mieć nie będzie mogła, gdyż nowa szkoła konstytucjonalistów poczytuje taką funkcję jako bezprawną, tak samo, jak bezprawnym byłoby zachowanie się korony, gdyby w sprawach dotyczących Anglji i Walji zasięgała opinji Rady Wykonawczej Australji.

„Nie mamy „Króla w Parlamencie" dla cesarstwa brytańskiego" — pisze.

Władza monarchy — ściśle ograniczona przez każdy z lokalnych parlamentów — jest więc jedynym wiązadłem poszczególnych składników olbrzymiego państwa i jedynym regulatorem ich wzajemnego stosunku. Wprawdzie tenże sam p. Sidney Low czyni uwagę, że dalsza ewolucja niepisanej konstytucji brytańskiego imperjum zależy od tego, czy następcy Edwarda VII-ego będą posiadali równie szczęśliwe jak on kwalifikacje do ponoszenia całej odpowiedzialności za kierownictwo polityki międzynarodowej w tej dziedzinie. Wprawdzie już w prasie angielskiej pojawiają się głosy, że z czasem musi powstać jakieś centralne ciało prawodawcze, imperjalistyczny parlament, rozstrzygający sprawy wspólne, a złożony z reprezentantów wszystkich samodzielnych kolonji.

Jest jednak wielką kwestją, czy taka zmiana nie budziłaby obaw u faktycznie niezawisłych teraz narodów, czy nie byłaby przez nie uważana za próbę ograniczenia ich samoistności i podporządkowania ich interesów celom i widokom polityki im obcej i obojętnej.

Każdy naród, czyniąc wybór między różnymi formami zależności, najchętniej decyduje się na tą, którą najmniej odczuwa. Unja osobista nie daje się wcale we znaki republikom australskim, Kanadzie, południowej Afryce — a w zupełności gwarantuje im jedyną korzyść, jaką ze stosunku z Anglją wynoszą: obronę przed najazdem. Potężna flota angielska jest obok osoby królewskiej jedynym łącznikiem, wiążącym w całość państwową imperjum brytańskie. Dotychczas nie ma tam narodów rządzących i rządzonych; jest tylko osoba, panująca, która zresztą — zgodnie ze znanym aforyzmem — nie rządzi.

Jedno z dwojga więc: albo państwa poszczególne zrzekną się części swej niezależności na rzecz wspólnej władzy prawodawczej reprezentacyjnej, albo, w miarę rozrastania się mocarstwa i komplikowania się jego zadań w polityce międzynarodowej, monarchizm—już nietylko jako symbol unji, lecz jako czynnik realny i decydujący—zdobędzie, wbrew wszelkim przewidywaniom, doniosłe znaczenie.

Zagadnienie to jest dla Anglji nie małej wagi, a widocznie mocno interesuje umysły, gdy równocześnie w trzech najpoważniejszych miesięcznikach angielskich szeroko i wyczerpująco jest roztrząsane.

Ponieważ wyrosło ono na tle specyficznych warunków politycznych, poza Anglją budzić może tylko teoretyczne, akademickie zainteresowanie, jakkolwiek pewne słabe analogje spotkać można i w innych bliższych nam państwach. Wiemy wszyscy, jaki niezrozumiały dla obcych wpływ i popularność posiada dynastja Habsburska w rozczłonkowanej na autonomiczne kraje i rozerwanej waśniami narodowościowymi Austrji. Jest to niewątpliwie po Anglji z pomiędzy państw europejskich najmniej podatne do propagandy republikańskiej. Okazuje się, że najgłębiej tkwiący w narodach instynkt niezawisłości na zewnątrz i swobody wewnętrznej w praktyce najrozmaitsze przybierać może formy i godzi się nawet z takimi, które w teorji są jego zaprzeczeniem.

Z. O.

Rolnictwo nasze a Rosja.

W szeregu pożytecznych prac p. Władysława Grabskiego ostatnia, jest drukowana w *Ekonomiście* za II-gi kwartał r. b. „ze statystyki rolniczej Królestwa Polskiego w zestawieniu z innymi dzielnicami państwa rosyjskiego". Autor stara się rozwiązać pytanie, czy pomimo widocznego w ostatnich czasach postępu rolniczego, wyprzedzamy pod tym względem cesarstwo, czy też pozostajemy w tyle poza nim? i odpowiada na

---

tyków za jednoznacznik powodzenia, stawiany jednak stale na drugim miejscu, — gdy dość poważne były koszta papieru, aby usprawiedliwić podobną śmiałość myśli i oceny. Przeczytaj więc naprzód katalogi i k·zyżykiem oznacz wszystkie dzieła, wyróżnione wzmianką pochlebną. Powieść, która nie osiągnęła 40-stu [1]) wydań, przedstawiać może mierną zaledwie wartość literacką — odpowiadająca zresztą oznaczonej liczbie wydań; poniżej 15-stu wydań bierze się do ręki tylko poezje; przy 10-ciu — traktat metafizyczny. Pamflet literacki, o ile nie zdobył 25 wydań, zasługuje ledwo na przerzucenie kartek. Dotyczy to, rozumie się, tysiąca nagłych i zawrotnych nowości, prądów błyskawicowych, książek „rozchwytanych", gorączki, szału i zaperzenia, gdyż nie posądzam cię o to, abyś zdolen był przystosować się do owych powolnych i uczciwych fortun, które trwają dłużej nad półwiecku. Czytaj więc, ale czytaj szybko, abyś pochłonął dużo i wprędce umeblował pamięć. Już po przeczytaniu kilku tomów, odkryjesz w nich pewien punkt wspólny, szczytowy punkt zbieżności, w którym przecinają się linje wszystkich utworów rozgłośnych naszej doby: dokonawszy tego odkrycia, zamknij książki i zasiądź do roboty; djament już posiadłeś, pozostaje go tylko oprawić wedle ostatniej mody. Co do mnie, punktu owego nie szukałem, a gybym go nawet znalazł przypadkiem, nie rzekłbym ani słowa; sam przedsięwziąć musisz poszukiwania, których wynik posłuży ci nie tylko za hasło przewodnie, ale i za metodę.

V.

Wątpliwości twoje co do stylu przynoszą ci najwyższy zaszczyt. Nie, nie należy „pisać dobrze". Najzdolniejsi młodzieńcy zamknęli przed sobą wszystkie drogi wskutek dziecinnego ubiegania się o styl, zaprzepaścili najpiękniejszą przyszłość. Swoją drogą, sztuka dobrego pisania jest dość dzisiaj rozpowszechniona (nie w takim jednak stopniu, jak się zdawało); wszakże sztuka kiepskiego pisania rozpowszechniona jest jest stokroć bardziej, acz dotąd nikt jeszcze nie sformułował właściwych tej sztuce zasad; dzisiaj odczuwamy ją jako dążność; być może stanie się ona prawem, obowiązującym wszystkich ludzi smaku. Na-

[1]) Liczba wydań obliczona, oczywiście, według skali czytelnictwa francuskiego; u nas należałoby cyfry te podzielić co najmniej przez 10. (Przyp. tłum).

to, na podstawie porównawczych statystycznych tablic, opartych na urzędowych źródłach „oddziału ekonomji i statystyki rolniczej przy ministerjum rolnictwa, zebrawszy dane te dla oddzielnych okręgów rolniczych i porównywając je z Królestwem — co do najważniejszych stron poruszonego tematu.

1) *Rozwój produkcji rolnej* w końcu ubiegłego początku obecnego stulecia pod względem ilości zbiorów poczynił pewne postępy, gdyż plon w Królestwie podniósł się z lat 1898 — 1902 — od 57 pudów z dziesięciny w latach 1903 — 1907 do 60 pudów, podczas gdy w Rosji pozostał bez zmiany wynosząc 44 pudy. Lecz w Rosji przestrzeń zasiewów zwiększyła się w tym czasie o 6,6 proc., gdy tymczasem w Królestwie zaledwie o 2 proc. Plon kartofli spadł u nas znacznie, pomimo powiększenia plantacji i razem wziąwszy zwiększenie produkcji w Cesarstwie wykazuje 5,5 proc. a w Królestwie 2 proc.

2) *Produkcja drobna i mniejsza* w Królestwie ustępuje większej w plonach jarzyn w mniejszym stopniu niż w innych dzielnicach państwa, co do ozimin i kartofli w stopniu mniejszym niż większość innych dzielnic i świadczy to pochlebnie o naszych gospodarstwach włościańskich, które czeka w niedalekiej przyszłości rola głównego producenta wobec usilnej parcelacji większej własności.

3) *Co do wzrostu cen produktów rolnych* to, utarte przekonanie, że Królestwo zajmuje pod tym względem najlepsze w państwie miejsce, nie zgadza się z rzeczywistością, cztery i inne dzielnice stoją bowiem od niego wyżej i tylko cena masła śmietankowego i mięsa wołowego jest u nas najwyższą. Należy więc przewidywać powiększenie się u nas produkcji opasów — co zaś do masła, to wobec powiększania się cen w Rosji dojdzie i u nas do jego eksportu — w głąb Cesarstwa.

4) *Wzrost cen czynników produkcji rolniczej* oddziaływa ujemnie na jej intensywność i autor grupuje te czynniki w dwa szeregi a) produkty surowe: pasza, nasiona, materjały budowlane i t. d. — oraz narzędzia produkcji maszyny i inwentarz żywy i b) siła robocza ludzka.

Autor za pomocą tablic porównawczych wykazuje, zmniejszenie się dla Królestwa wzrostu ceny otrąb pomyślne dla celów mleczarstwa — natomiast ceny krów dojnych i koni są niższe, jedynie od nadbałtyckich prowincji. Wzrost ten korzystny, jedynie dla chodowców koni roboczych, bardzo nielicznych, ujemnie oddziaływa na rolnictwo wogóle.

Płaca robotnika z koniem jest u nas jedną z najwyższych i prawie najszybciej wzrasta — płaca pieszego robotnika jest średnią, przyczym płaca robotnika męzkiego jest jedną z najmniejszych, ale norma jej szybko wzrasta. Na ogół Królestwo, jako kraj gęsto zaludniony ma robotnika względnie niedrogiego, droższego jednak niż powszechnie przypuszczają — i chłop rosyjski nie otrzymuje u siebie lepszej płacy niż polski — jest to korzystne dla ludności robotniczej, ale wytwarza coraz większą różnicę w kosztach produkcji rolniczej, na niekorzyść naszą.

Z całokształtu zestawień warunków i wyników produkcji rolnej w Królestwie i pozostałych okręgach rolniczych Cesarstwa autor wyprowadza wniosek, że Królestwo staje z biegiem czasu w coraz gorszych warunkach dla rozwoju produkcji rolnej; bo ogólny wzrost cen na produkty rolne co raz więcej tam się uwidocznia, u nas zaś wzrasta koszt produkcji w silniejszym stopniu.

Należy więc wyrównać te niekorzystne warunki, przez wzrost umiejętności technicznej i celowej organizacji gospodarczej.

Rachować na naturalną sprawność naszego organizmu ekonomicznego, przypuszczając, iż jest on żywotniejszy od rosyjskiego, jest błędem, gdyż fakty wskazują, że postęp rolniczy nie jest u nas szybszy niż w Rosji i nie przewyższa tego poziomu, który zawdzięczamy lepszym naszym ekonomicznym warunkom. *Jesteśmy biernym odbiciem tych warunków.*

Jeżeli pozostaniemy więc i nadal bierni, będziemy się cofać względnie do Cesarstwa. Instynkt więc samozachowawczy wymaga od nas wielkich wysiłków w dążeniu do zachowania obecnego kulturalnego stanowiska.

W końcu autor zapytuje, czy nasze towarzystwa, kółka i szkoły rolnicze czynią zadość potrzebom w tym względzie,—i odpowiada przecząco. Ostatnie dobre lata uśpiły przedsiębiorczość rolniczą i celowe wysiłki ogółu. W dziedzinie produkcji zbóż nie wielka jest przyszłość, okopowe i mleczarstwo nie zdystansują Rosji.

Rolnik nasz musi głównie wytwarzać to, co się opiera na sztuce człowieka producenta jak np: chodowla nasion, rasowy inwentarz i przemysł rolny.

Widzimy już pierwsze w tym kierunku kroki, lecz słabe i szablonowe; nie zbawi bowiem nas gorzelnictwo,zależne od przepisów akcyzy, ani cukrownictwo, mające lepsze na Ukrainie warunki—i jedynie specjalizacja, oparta na sztuce rolnika — oprze się natural-

---

dawałby się piękny traktat do opracowania, pod tytułem: „O stylu, czyli o sztuce złego pisania!" A oto reguła naczelna: „Nie będziesz brał obrazu, któryby nie był wytarty codziennym użyciem mowy potocznej". Wszystkie reguły dalsze wypływają z tej jednej; ścisłe jej przestrzeganie wystarcza, aby uchronić od „stylu" człowieka obdarzonego wdziękiem i rozsądkiem.

Jednakowoż, aby pozyskać reputację nieskazitelną i uznanie całkowite, trzeba od pierwszego zamachu, niejako wstępnym bojem, zdobyć i sztukę pisania bez stylu. Kilka młodocianych utworów, kilka nawet stronic, wypuszczonych niebacznie, odgrzebane przez nienawistnego ci krytyka, mogą po dwudziestu latach pracy i rozgłosu, podkopać nagle całą twą popularność. Byłem świadkiem, jak sprzedaż pewnej powieści, całkiem bez stylu, odrazu, jakby uciął, ustała po artykule, gdzie jakiś dziennikarz twierdził:„... utwór bardzo piękny; styl nowy i śmiały". Nie było w tym słowa prawdy, atoli powieściopisarzów, w młodości swej, wydał jedną książkę, która mogła upoważniać poniekąd do tak miłych żartów. Niechaj więc twój pierwszy utwór będzie odrazu dziełem szczerze wyzutym ze stylu; niech na świeżych jego kartach, niby na łące, barwią się wszystkie pospolite kwiaty; wszystkie opisy twe niech sprawiają owo wrażenie rzeczy już widzianych, które tak zachwyca publiczność, dające jej możność wierzenia, że wszystkie przeczytała już książki i że nic już wynaleźć niepodobna. Powieść, w której wszystko, rozmowy, krajobrazy, gesty, uśmiechy, włosy, przypadłości, zdarzenia miłosne, namiętności, buty, spódnice i sumienia, w której wszystko, powtarzam, przypominałoby uczucie, jakiego się doznaje, odnajdując psa zgubionego, lub utraconą kochankę! Któż stworzy nam taką powieść? Wielu pisarzy sławnych przypisuje sobie, podobno, chwałę takiego arcydzieła; przyznaję, że zbliżają się doń po części, nie w takim wszakże stopniu, abym podziw dla nich miał bezwzględny; zarzucić im można wszystkim — gminność. Bowiem rozumiesz chyba, że aczkolwiek odrzucam styl, to przecież cenię dystynkcję; co więcej, pragnę, aby owa książka bez stylu, bez idej, lecz napisana wytwornie, posiadała „szyk literacki", który podbija najwybredniejszych znawców.

(D. N.)

nym warunkom niwelacyjnym, spychającym kraj nasz do kulturalnego poziomu innych dzielnic imperjum.

Gorzkie prawdy, jakie pan Grabski rzuca w twarz ospałemu rolniczemu ogółowi naszemu, zeszły się z ogólnym spadkiem cen zboża i otrzezwiająco zapewne podziałają na zblazowanych powodzeniem lat ostatnich producentów ziarna.

Ag.

Artysta—obywatel.

Nie o dymy pochlebstw, o czcze owacje, o publiczny poklask, nawet nie o hołdy wdzięczności dopominam się dla człowieka, który w dniach grunwaldzkich stał się bohaterem dnia w Krakowie.

Słowa, oklaski, tryumfy są dla Paderewskiego chlebem powszednim, a choćby je nawet niegdyś i najgoręcej miłował, dziś nie mogą na niego czynić wrażenia. O wdzięczności trudno mówić, wobec szlachetnej skromności i prostoty, z jaką traktował on swą rolę ofiarodawcy pomnika. Darował go ojczyźnie, której jest kochającym dzieckiem, miastu będącemu i dla niego panteonem najdroższych narodowych pamiątek, „na chwałę praojcom", których czcią synowską otacza, „na otuchę braciom", których walki i cierpienia odczuwa. Darował go więc nam i sobie.

Ten niezwykły czyn, ten iście królewski w swej prostocie giest, jakim Paderewski zajaśniał przed narodem, zasługuje na coś więcej niż na konwencjonalny aplauz. Domaga się on poważniejszej i głębszej oceny. Roczniki życia narodowego winny go zaregestrować jako fakt doniosły i znamienny, jako piękny a zupełnie nowy ton, którym artysta zbogacił zbiorową duszę narodu.

Paderewski należy do tych ludzi sławnych, którzy śmiało mogą powiedzieć, że nieomal nic nie zawdzięczają krajowi. Ziemię rodzinną opuścił za młodu biedny, nieznany, lekceważony, pozbawiony pomocy i oparcia. Wielki talent jego wykształcił się i zabłysnął na obczyźnie. Niezmordowaną pracą i potęgą talentu, zapałem dla umiłowanej sztuki doszedł do wyżyn sławy i bogactwa, podbił tłumy słuchaczy w najbardziej nam obcych, a nawet wrogich krainach, rozsławił sztukę polską na obu półkulach i stał się jednym z dostojników tego kosmopolitycznego królestwa Muz, z którego wygnaną jest polityka, w którym milknie szczęk broni, cichną antagonizmy narodowościowe, ale też zazwyczaj głuchnie i zanika głos obywatelskiego obowiązku i poczucie solidarności bratniej z wielką drużyną cichych oraczy i siewców rodzinnej niwy.

Artyści nasi dzielą się albo na proletarjuszy sztuki, marnujących swój talent i pracę, wyzyskiwanych na wszelkie filantropijne cele, walczących nie o wielkość i sławę, lecz o marne istnienie — to jest tych, co pozostają w kraju, i na garstkę magnatów sztuki, pieszczochów fortuny, zrzadka tylko i dopiero u schyłku karjery zaglądających do ojczyzny, by jej rzucić jakiś okruch talentu wyhodowanego, podziwianego i opłacanego przez obcych. Jesteśmy dumni z naszych wielkości, ale na ogół mało mamy z nimi wspólnego. Nie dajemy im wprawdzie nic, ale również nie wiele od nich otrzymujemy. Kraj nasz jest za biedny, jego kultura zbyt skrępowaną, umysłowość zbyt ubogą, abyśmy mogli stworzyć dla talentów i umysłów wyższej miary warunki istnienia i rozwoju. W tej ciasnej, obręczami politycznej zawisłości skrępowanej ojczyźnie, niema dla nich miejsca. Uczeni, artyści, wynalazcy — nie mają wprost fizycznej możliwości oddawać się w kraju czy to badaniom i odkryciom naukowym, czy sztuce. Stąd to stałym zjawiskiem od lat wielu jest emigracja najhojniej przez naturę uposażonych jednostek za granicę, systematycznie osłabiająca rozpęd naszego duchowego rozwoju. Jest to poniekąd błędne koło; w braku kapitału obrotowego nietylko nie możemy się bogacić ale musimy wyprzedawać i zastawiać wszystko, co posiada wartość obiegową, aby utrzymywać szare i ubogie istnienie. U szczytów dzieje się to samo co u fundamentów. Kraj nie może zatrzymać ani talentów, które wydaje, ani swych rąk roboczych zatrudnić.

Stały odpływ sił twórczych i sił wytwórczych wycieńcza organizm społeczny i wywołuje chroniczny bezwład. Zatrzymać ich w danych warunkach niemożna. Jedynym ratunkiem jest wywoływanie fali powrotnej, wytworzenie tak ścisłej duchowej łączności między emigracją podstawową i szczytową a pniem rodzinnym, by on się krzepił i wzmacniał jej nabytkami, by się skutkiem emigracyjnego procesu rozrastał — nie zaś rozkładał. Jeśli na tle tych rozważań rzucimy okiem na grunwaldzkie obchody w Krakowie, to ujrzymy w nich coś większego i głębszego niż zbiorowe westchnienie za minioną chwałą, więcej niż zgiełk radosnej i malowniczej zabawy. Było to święto jedności narodowej w najgłębszym i najszerszym znaczeniu, a wyrazem tej jedności był nietylko liczny udział rodaków z obczyzny i z za oceanu, lecz wymowniejszym może jeszcze dar artysty-obywatela, hołd sztuki polskiej dla polskiego męztwa i bohaterstwa.

Dwaj artyści polscy złożyli na ołtarzu minionej chwały dzieło twórczego natchnienia. Kult piękna wyhodowany pod obcym niebem zanoszą do ojczyzny zdobiąc troską i męką zorane jej oblicze kwieciem i laurem.

„Bądź piękną, ziemio — matko, — tak jak nam jesteś czczoną i umiłowaną" zdają się mówić ci wierni synowie, nieszczęśliwego narodu.

To jeszcze nie wszystko.

Paderewskiemu znaną jest martyrologja wielkiego talentu, szamocącego się rozpaczliwie w pętach materjalnej nędzy. Każde społeczeństwo patrzy na takie dramaty życiowe, w żadnym może nie są one tak beznadziejne jak w naszym. Przeszedłszy za młodu różne etapy tej drogi krzyżowej, dziś ze szczytu tryumfów, pomyślności i sławy wyciąga dłoń pomocną do cierpiącego i walczącego brata i dźwiga go ku sobie. Wiwulski jest bez zaprzeczenia niepospolicie obiecującą siłą twórczą; jest młody, ma przed sobą długą przyszłość, która może być przyszłością pełną blasku i sławy. Ma za sobą w osobie przyjaciela i protektora krzepiący przykład tryumfującego talentu i silnego charakteru, którego przeciwności nie złamały, powodzenie nie spaczyło, nie odurzyły hołdy, — wielkiego serca, którego nie wystudziła atmosfera zbytku i rozkoszy u szczytów społecznych.

Jest tyle sił w narodzie,
Jest takie mnogo ludzi.

Jakżeby on mógł być wielki i bogaty, gdyby te siły nigdy nie marniały, nie więdły i nigdy łączności z rodzimem nie traciły ogniskiem!

Czyn który tę nierozerwalną spójnią stwierdza i umacnia, już przez to samo służyć będzie „Braciom na otuchę".

I. M.

NA DOBIE.

Po grunwaldzkim święcie.

Jak zwykle bywa, kiedy się goście rozjadą, zaczyna się przeżuwanie doznanych wrażeń, przyczem wypływają na wierzch różne dąsy i kwasy utajone lub zagłuszone na razie w świątecznym gwarze i zgiełku. Ani słowa—uroczystość udała się wspaniale, ale, gdyby nie to lub owo, mogłoby być lepiej. Gdyby nie opór

kardynała Puzyny, dzwon Zygmunt byłby rozbrzmiewał w chwili pochodu, a sokoły na Błoniach byłyby wysłuchały mszy polowej. Gdyby nie niechęć centralnego rządu i cesarsko-królewskich, a nawet i autonomicznych dygnitarzy, byłyby grały orkiestry wojskowe, banderje chłopskie miałyby lepsze konie, budynków szkolnych użytoby na pomieszczenie gości, gmachy rządowe byłyby iluminowane. Wreszcie, gdyby nie ostrożność i powściągliwość komitetu obchodowego, moskiewskie Towarzystwo kultury słowiańskiej, a może i inne zagraniczne korporacje, sympatyzujące z pogromem Krzyżaków, byłyby przysłały deputacje.

Kto wie jednak, czy każda z tych korzyści nie byłaby okupiona jakąś stratą lub połączona z jakimś niebezpieczeństwem. Poparcie biskupa Puzyny groziłoby zalaniem całego obchodu falą święconej wody i zmatowaniem jego tęczowej barwności chmurą czarnych sutan i brunatnych habitów. Współudział wojska, władz i urzędników byłby na wielkiej polskiej manifestacji wycisnął oficjalny galicyjsko-austryjacki stępel —, a choć fakt dziejowy, którego rocznicę święcono, miał militarny charakter, rozwinięcie na jego pamiątkę pompy zmodernizowanego militaryzmu byłoby zaprawione dość bolesną ironją. Istniała w 1410 roku dynastja Habsburgów i posiadała armję nielada — ale nie w Krakowie. Jeżeli jednak dość szczęśliwie się stało, że obchód grunwaldzki nie nosił austryjackiego piętna,—że powściągliwość uczestników zapobiegła, by się nie stał antyniemiecką prowokacją, to już absolutnie nie było żadnej politycznej racji, ani psychicznego motywu, by go przeobrażać w demonstrację antyaustryjacką.

To niebezpieczeństwo grozićby mogło w pewnej mierze, gdyby się było otwarło szeroko wrota dla wszystkich zagranicznych gości słowiańskich, którzy zapragnęliby korzystać z krakowskiego święta dla proklamowania szczepowego braterstwa, dla staczania bez krwawych zapasów politycznych między sferami wpływów trójprzymierza a trój porozumienia, czyli, między austroslawizmem a neoslawizmem.

Obowiązki gościnności bywają czasem ciężkie i kłopotliwe; łatwiej jest gości nie prosić niż zaproszonym kneblować usta, zwłaszcza w konstytucyjnym kraju, a choć przypuszczać wolno, że graf Bobryński nie ośmieliłby się już dziś stanąć na krakowskim bruku, choć w towarzystwie kultury słowiańskiej w Moskwie współideowców on podobno nie posiada, nie jest wcale rzeczą pewną, czy w tym sympatycznym zresztą gronie świadomość politycznych stosunków europejskich jest tak wysoko rozwiniętą, by całkowicie chroniła od mimowolnych nietaktów i naiwnych pomyłek. Wiemy, że przed kilku laty najszlachetniejsze serce braci słowian z nad Newy i Wołgi krwawiły się na myśl o niedoli uciśnionych Bośniaków i Hercegowińców, którym dziś już nietyle współczuć, ile może zazdrościć by należało.

Polacy jęczący w pętach austryjackiej niewoli może również na odległości stu mil wydają się godni współczucia, ale narazie o tyle wesoło i spokojnie los swój znoszą, że mogliby z obawy przed obrońcami tym skwapliwiej przytulić się do swych ciemięzców. Takie wesołe *qui pro quo* mogłoby się łatwo wydarzyć, gdyby pan Leo nie opancerzył swego serca przeciw wylewom słowiańskich uczuć i nie zaasekurował uroczystości krakowskich przed nieobliczalną grą politycznych afektów.

Dlatego to zapewne ten chłodny, powściągliwy, urzędowo banalny mistrz ceremonji krakowskich, który ani na chwilę w dniach obchodu nie porwał tłumu, nie rozgrzał serc, nie osiągnął przy tak sprzyjającej okazji żywiołowo manifestującej się popularności, w Radzie miejskiej, kiedy motywował swe stanowisko w obec propozycji Towarzystwa Kultury Słowiańskiej, zdobył jednomyślny aplauz wszystkich radnych bez różnicy barwy partyjnej. Pocieszający to dowód, że nietylko uczucie, lecz i rozum Polaków zjednoczyć może.

M.

Trójlistek.

Wsiewołod Szukszincew, uczeń VIII kl. gimnazjum w Orenburgu, zdaniem samego p. dyrektora, był to chłopak szlachetny, szczery i zdolny. To też egzamina końcowe świetnie mu się powiodły, ale biorąc w nagrodę Biblję z rąk biskupa czelabińskiego, Djonizjusza, chłopiec z pietyzmem przyłożył do ust księgę świętą, jak chce zwyczaj, a ręki biskupiej nie pocałował. Dostojnik uczuł się tym urażony, wyrwał chłopcu z dłoni księgę świętą, zwymyślał go i chwyciwszy blankiet egzaminacyjny na miejsce stopnia 4 wystawił olbrzymią „dwóję".

Głuchy zrazu na wszelkie błagania, wreszcie biskup zmiękł i maturę chłopcu uratowano. Odtąd zaczęła się dla Szukszincewa istna Golgota. Władze szkolne zmusiły jego matkę udać się do biskupa i prosić raz jeszcze o przebaczenie. Potym kazano jej wystarać się o świadectwo lekarskie, stwierdzające „niepoczytalność" syna. Zebrała się rada szkolna i uchwaliła zmniejszyć mu stopień ze sprawowania, zamykając tym wstęp do wyższej uczelni. Wreszcie zmuszono ojca, który był nauczycielem, by się podał do dymisji. A więc — złamane życie młodzieńca i pogrom całej rodziny za nieucałowanie biskupiej ręki!

— Takie rzeczy dzieją się tylko na Uralu! zawoła czytelnik. — Nie tylko — odrzekę. A oto dowód. Był ci w sławetnym mieście Lwowie profesor gimnazjalny Janik, zarazem członek rady miejskiej, gdzie zasiadał na ławach opozycji postępowej. Ten Janik, wyborny mówca, chętnie był słuchany, nawet wówczas, gdy piętnował ospałość, opilstwo, obżarstwo, ciemnotę, kołtuństwo, moralność Pani Dulskiej i siedm śmiertelnych grzechów Lechity — kiedy „plwał na wszystko, co polskie", że użyję naiwno-bluźnierczego zwrotu pobożnych sylfów redakcyjnych...

I trwał Janik w Radzie, i trwała Rada wokół Janika. Ale gdy mówca nazwał pewnego razu Jezusa Chrystusa *bohaterem z Nazaretu* — kołtuństwo zawrzało gniewem. Za kulisami lwowskiej „Strzelnicy", w salonie pani Dulskiej, po kruchtach i zakrystjach zebrały się groźne chmury, skąd wypadł na p. Janika piorun karzący. Rada Szkolna, ulegając presji klerykalnych Tartuffów, przeniosła „ateistę" ze Lwowa do... Dębicy, zmuszając go tym samym do złożenia mandatu radzieckiego... We Lwowie tedy wolno być socjalistą, syndykalistą, troglodytą, ale *wolnym myślicielem* być nie można...

Radco lwowski, polski profesorze i ty, gimnazisto z rosyjskiego zaścianka, podajcie sobie dłonie! Jednaki wasz los Nie taka znów przepaść dzieli bizantynizm wschodni od zachodniego... kołtuństwa, skoro przerzucić można z tego na tamten brzeg most frapującej analogji.

I nie taka znów przepaść dzieli „duch aryjski" od żydowskiego, bo oto w Warszawie, na rogu Nowolipek i Smoczej, w sklepie Jankla Zawoźniaka, zaszedł następujący wypadek: 16 letni syn tego świętobliwego kupca „obserwował" post niedość ściśle i, przydybawszy chłopca z jakimś wiktuałem w ręku, stary chassyd począł go bić niemiłosiernie. Jednocześnie wtargnął do sklepu tłum rozjuszonych *gorliwców* i w imię Boże zrobili z chłopca bezkształtną miazgę. Dopiero litościwa interwencja stójkowego położyła kres tej ohydnej scenie religijnego samosądu. A więc śmierć lub kalectwo za wydarty Bogu w post kęs chleba! I znów rygor wyznaniowy okazał się po stokroć sroższy od policyjnej Temidy, jak to już raz mieliśmy sposobność stwierdzić w artykule, tyczącym rożyskiej sprawy Knobelsdorfa (Nr. 27).

Etyko religijna! O ty, rodzicielko cnót, wiel-

biona słodkimi usty księdza Kominka, zalecana przez Prusa, chwalona przez Donimirskich, stosowana przez Dmowskich, lękliwie zdaleka wymijana przez Warskich i Krzywickich, a szerzona knutem, pałką, pięścią, rygorem, donosem, oszczerstwem — przyjmij od nas *ten skromny trójlistek* i włóż go między wawrzyny swej chwały.

L. G.

Mazurzy pruscy w Grunwaldzie.

Kurjer Poznański, zamieszczając opis wycieczki polskiej z Lubawy na pola Grunwaldu i Tannenberga, w dzień rocznicy wielkiego zwycięztwa, z goryczą zaznacza nietylko niechętne, lecz wręcz wrogie i wyzywające zachowanie się Mazurów pruskich względem biorących w niej udział Polaków. O mało nie przyszło do bójki, a gdy uczestnicy wycieczki, opuszczając pamiątkowe miejsce, zaśpiewali chórem „Marsza Sokołów", Mazurzy usiłowali ich zagłuszyć pieśniami pruskimi: „Heil dir im Siegeskranz" i „Ich bin ein Preusse".

„Jest to klęska, którą poniosło nietylko grono uczestników wycieczki" dodaje od siebie redakcja.

Należy przy tej sposobności wniknąć nieco w głębsze przyczyny tej klęski. Może się wydawać na pozór rzeczą zdumiewającą, dlaczego prąd odrodzenia narodowego, który wskrzesił polskość na oderwanym przed 600 laty od pnia macierzystego Górnym Śląsku, a dziś ogarnia Kaszubów i sięga aż do straconych przed wiekami wybrzeży Bałtyku, ominął całkowicie jedyną grupę ludności polskiej, zamieszkującą jadnak tak niedaleko granic Królestwa Polskiego.

Drwimy z Niemców, gdy oni w swych statystykach zaliczają Mazurów do odrębnej narodowości a „mazurische Sprache" poczytują za samoistny język, tymczasem z naszej strony nie uczyniono nic, aby poczucie łączności narodowej w tym ludzie obudzić lub utrzymać. Język, mazurskim czy polskim zwany, sam przez się — jak widać — nie jest dostatecznie silnym węzłem i można się nim posługiwać dla szykanowania uczuć patrjotycznych rodaków.

Cały sekret stosunków, jakie się wytworzyły, polega na tym, że Mazurzy są ewangielikami, a stąd przez klerykalnych działaczy poznańskich zawsze uważani byli jako żywioł obcy, którym się zajmować nie warto. Nawracanie ich na katolicyzm byłoby sprawą trudną i drażliwą, wejście w blizkie i przyjazne stosunki z rodakami inowiercami naruszałoby stale i niezachwianie podtrzymywaną fikcją, że Polak i katolik to synonimy, a obrona Kościoła i religji jest kwintesencją patryjotyzmu. Gdy przed kilkunastu laty w rozmowie prywatnej, w obecności jednego z najbardziej wpływowych księży poznańskich z otoczenia biskupa Stablewskiego, wspomniano, że identyfikowanie polskości z katolicyzmem odcina nas od Mazurów pruskich, — wielebny kanonik żachnął się ze wstrętem. „Na nich nie liczcie, im dajcie pokój; uważajcie ich z góry za straconych". Stało się, jak powiedział, ale mogło się było stać inaczej.

Rząd pruski z tego zaniedbania skorzystał. W przeciwieństwie do polskiego „mazurski" język doznawał pewnych względów. Ludności mazurskiej dostarczano zawsze pastorów, mówiących jej rodowitym językiem lecz krzewiących wśród niej lojalizm pruski. Księża nie mieli do niej dostępu, a Poznańczycy niczego nie lubią przedsiębrać bez księżego przewodnictwa i błogosławieństwa.

Nigdzie może wyraźniej niż w tym wypadku nie pomścił się na nich teokratyczny charakter ich narodowej organizacji i kuratela duchowna, jakiej się poddali.

Ażeby odzyskać pruskie Mazowsze należałoby zeświecczyć politykę polską w zaborze pruskim i wykorzenić z pojęć i obyczajów nałogi i przesądy, które ojczyznę identyfikują z jakąś prowincją katolickiego imperjum, a w Papieżu widzą władcę z ramienia Bożego, czuwającego nad Polakami.

M.

Prasa polska przed sądem.

Pan Wolberg obwinia prasę polską. Nie poprzestając na roli oskarżyciela, czyni się zarazem i sędzią. Zaraz na pierwszej stronie swej książki wyrokuje, iż należy powiesić kilku redaktorów polskich w Warszawie, na ostatniej każe im buty szyć, co jest w każdym razie znacznym złagodzeniem wyroku. Całe szczęście, że, obok oskarżycielskiej i sędziowskiej, autor nie przywłaszczył sobie jeszcze roli wykonawczej, bo czyżby powieszeni na wstępie dziennikarze mogli dziś nadać myślom pana Wolberga należyty rozgłos.

Zbrodnią prasy polskiej jest tyranizowanie myśli polskiej przez tłumienie głosu narodu, czyli głosu p. Wolberga.

Autor pisze — gazety go nie drukują. Stąd sypią się na społeczeństwo polskie nieobliczalne klęski; tysiące istnień zmarnowanych, potoki krwi przelanej spadają na sumienia redaktorów.

Zachodzi pytanie, dlaczego—przekonany o tak nieobliczalnej doniosłości swych słów—autor nie zaczął od razu od tego, na czym skończył, to jest od zbawiania narodu własnym nakładem? Wszakże, gdy chodzi o dobro kraju, koszt kilkunastu arkuszy druku i papieru nie może wchodzić w rachubę, a nawet zdobiący dzieło portret zbawcy ojczyzny nie okaże się zbytecznym jako materjał do przyszłego pomnika.

Prasa polska ze swej strony może przytoczyć pewne okoliczności łagodzące 1-o) Trzy razy podawała do wiadomości publicznej zbawcze orędzia p. Wolberga 2-o) Nigdy one nie wywołały zamierzonego skutku; raczej powodowały efekt przeciwny.

Stąd mogła dojść do wniosku, że dla każdej sprawy lepiej jest, gdy jej p. Wolberg nie broni i że należy go zachęcić, by na ołtarzu publicznego dobra złożył raczej swe milczenie.

Po raz pierwszy odezwał się autor w obronie fabrykantów łódzkich w czasie pamiętnego lokautu, którego przebieg opisuje pod zbyt wiele mówiącą nazwą: „Historji tak zwanej rewolucji".

Po raz drugi zabrzmiał głos jego w obronie trzeźwej polityki pana Dmowskiego, którego kierownictwu radził się poddać bezwzględnie. Po tym nastąpiło pewne rozczarowanie. Okazało się bowiem, że p. Dmowski nie posuwał trzeźwości tak daleko, jak sobie p. Wolberg życzył. Wypadało zatym samemu zainaugurować zbawczy kierunek polityczny i stąd wziął początek *Program polityki kraju* drukowany w *Gazecie Częstochowskiej*.

Jest to bezwarunkowo najciekawsza i najosobliwsza część książki, którą warto polecić uwadze specjalistów. Oto parę próbek rozumowania:

Ponieważ największym dobrodziejstwem, jakiego doznaliśmy w ostatnich latach, było zredukowanie liczby posłów polskich z Królestwa Polskiego, przez co zmuszono nas do cofnięcia się na stanowisko ściśle autonomiczne, należy w duchu postulatów autonomicznych pójść o krok dalej, zredukować liczbę posłów czynnych do 5-ciu, tym zaś dać polecenie zupełnej neutralności w sprawach rosyjskich, to jest głosowania zawsze za każdym projektem rządowym, przez co zdobędą szacunek Rosji.

Ten program nazywa p. Wolberg „głosem rozsądku".

Sądzę, że to wystarczy dla uniewinnienia prasy zbyt troskliwej o opinję p. Wolberga, aby miała mu bez wahania głosu udzielać. *M.*

BADANIA NAUKOWE.

Kazimierz Twardowski o metodzie psychologji.[1]

„Przychologja długą ma przeszłość, lecz krótką—historję", powiada Ebbinghaus.[2]) Tym się tłomaczy niewątpliwy fakt, że obok bogato nagromadzonych zdobyczy, odkryć, spostrzeżeń i doświadczeń poznawczych, nie posiada ona dotąd ściśle określonej metody swych badań. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia podawano w wątpliwość sam fakt istnienia psychologji jako nauki odrębnej. Wcielano ją do systemu po części fizjologji, po części zaś frenologji, jako pewien odłam badań poszczególnych do całości ogólnej.

Dziś, gdy obszar zagadnień psychologicznych rozrósł się do rozmiarów imponujących, powołując do życia rozliczne, hojnie uposażone, katedry na wszechnicach, laboratorja, tudzież czasopisma specjalne, poświęcone dociekaniom życia duchowego, nikt o udzielności nauki tej nie wątpi. Wszelako metoda jej ciągle jeszcze pozostaje przedmiotem sporów, nieporozumień i wahań. Broszura prof. Twardowskiego jest próbą rozstrzygnięcia sporów owych na gruncie wspólnego porozumienia. Przedewszystkiem zaznacza on słusznie, że brak powszechnie przyjętego określenia jakiejś nauki nie tworzy przeszkody prawidłowego jej rozwoju. W istocie, określeniem takim nie może pochlubić się ani socjologja, ani ekonomja społeczna, a przecież badania w tych dziedzinach wiedzy ludzkiej ciągle posuwają się naprzód.

Na wszelkie badanie naukowe składają się pewne sposoby postępowania, tworzące właśnie to, co się nazywa *metodą* danej nauki. Chociaż więc niema dotąd zgody między psychologami co do określenia *psychologji*, można przecież mówić o jej metodzie, w odróżnieniu od metody innych nauk.

Na wstępie stwierdzamy, że psychologja czerpie swój materjał poznawczy z *doświadczenia*: na nim opiera swe tezy, i, w rozstrzyganiu swych zagadnień, wyższej po nad doświadczenie nie uznaje powagi. Zaliczamy tedy psychologję do liczby nauk *empirycznych*. Atoli nauki empiryczne dzielą się na dwa rodzaje: 1) nauki empiryczne w ściślejszym tego słowa znaczeniu i 2) nauki historyczne. Pierwsze badają fakty wprost dane w doświadczeniu; drugie badają fakty wprost w doświadczeniu nie dane, lecz rekonstruowane z danych doświadczenia. Stajemy więc wobec pytania, do której z obu grup empirycznych należy psychologja? Bez wątpienia, bada ona fakty, tworzące w swej całości t. zw. życie psychiczne, a fakty te są nam dane w doświadczeniu. Możnaby ją tedy, zda się, nie wachając się, zaliczyć do grupy nauk empirycznych w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Zachodzi jednakże między psychologją a resztą nauk empirycznych w ściślejszym znaczeniu (np. chemją lub fizyką) ważna różnica, której pomijać nam niewolno.

Oto psychologja nie może posługiwać się *obserwacją* w stosunku do faktów psychicznych; może ona tylko dane sobie w doświadczeniu fakty życia psychicznego zauważyć; *spostrzegać przelotnie*, gdy tymczasem fizyk i chemik ustawicznie obserwują zjawiska, t. j. uważnie śledzą następujące po sobie fazy zjawiska oraz towarzyszące im kolejno właściwości. Na takie systematyczne śledzenie psycholog niema czasu, wobec wartkości prądu życia wewnętrznego, bowiem stany świadomości zapalają się i gasną niejako błyskawicznie; a przytem silne i żywe wzruszenia, pochłaniające całą naszą istotę, wyłączają możliwość spokojnego ich analizowania. Psycholog tedy skazany jest z konieczności na świadectwo pamięci, odtwarzającej mu zjawiska minione o wiele mniej wiernie, aniżeli płyta fotograficzna. Słusznie powiedziano, że osobnik myślący nie może rozdzielić się na dwie istoty, z którychby jedna myślała, a druga myślenie śledziła.

Dzięki takiemu stanowi rzeczy—wnioskuje prof. Twardowski—psychologja nabiera poniekąd charakteru nauki historycznej i możnaby ją nazwać nauką quasi—historyczną: jako nauka empiryczna uczestniczy ona w obu grupach, na które podzieliliśmy nauki empiryczne pod względem metodologicznym.

Rozpatrując w świetle powyższym rozmaite działy psychologji, widzimy, że niektóre zbliżają się bardziej do typu nauk empirycznych w znaczeniu ściślejszym, inne zaś zaś do typu nauk historycznych. Psychjatra np. badający patologiczne formy życia psychicznego, operuje faktami, które jemu samemu nigdy nie były dane w doświadczeniu. O ile natomiast badamy normalne życie psychiczne człowieka dorosłego, rola rekonstrukcji faktów maleje w porównaniu z rolą introspekcji.

Psychologja, uczestnicząc w ułomnościach badania, jakimi odznacza się metoda historyczna, zmuszona opierać rekonstrukcje faktów na podstawie danych częstokroć hypotetycznych, góruje wszakże nad doktrynami ściśle historycznymi możnością posługiwania się dla swych celów badawczych *eksperymentem*. Możność stosowanie eksperymentu w badaniach psychologicznych polega na tym, że fakty psychiczne nie są, mimo swej przelotności, dla doświadczenia tak bezpowrotnie stracone, jak minione fakty historyczne. Eksperyment wynagradza psychologji poniekąd brak możności obserwowania. Mamy tu na myśli *eksperyment introspekcyjny*. Stanowiąc jakoby surogat właściwej obserwacji, przedstawia on doniosłość niezmierną dla badań i zasługuje na nazwę eksperymentu psychologicznego w istotnym tego słowa znaczeniu.

Obok eksperymentu introspekcyjnego zdobył sobie w psychologji miejsce wybitne eksperyment psychofizyczny oraz eksperyment psycho fizjologiczny. W drugiej połowie XIX st. miały one nawet znaczenie dominujące, odsuwając na plan wtóry czynność introspekcji. Obecnie jednak powraca trafna ocena doniosłości badań introspekcyjnych w psychologji. Jednocześnie, z każdym rokiem potężnieje śród uczonych przeświadczenie, iż podstawowym zadaniem psychologji staje się wyczerpujące prześwietlenie życia psychicznego w tej jego dziedzinie, w której dostępne ono bywa istotnemu doświadczeniu, lubo pozbawionemu właściwej obserwacji, t. j. w dziedzinie, do której przenikają jedynie promienie introspekcji.

W. R

[1]) Prof. Dr. Kazimierz Twardowski: *O metodzie psychologji;* przyczynek do metodologji porównawczej badań naukowych. Warszawa — Lwów 1910.

[2]) Hermann Ebbinghaus: *Abriss d. Psychologie.*

Ignacy Tadeusz Baranowski: **Księgi referendarskie.** Tom I. 1582—1602. Str. 173. Warszawa, 1910. Wydawnictwo Tow Nauk. Warszawskiego.

Jest to dalszy ciąg materjałów do historji wewnętrznych dziejów polskich, wydawanych przez komisję historyczną i zawiera przedruk najstarszych ksiąg sądów referendarskich, które są nietylko cennym materjałem do poznania ustroju tych sądów, ale rzucają też wiele światła na położenie społeczne i materjalne poddanych królewszczyzn, rozrzuconych po wielkich obszarach korony. Sądy referendarskie miały charakter sądów patrymonialnych i wykazują też wiele drobiazgowej zapobiegliwości królewskiej o dobro poddanych, które było dobrem ich suwerena. Cała

ło kopalnia dla badacza obyczajów ówczesnych, a także dla historyka rolnictwa polskiego — odsłaniająca w najdrobniejszych szczegółach sposób uprawy roli i zbytu produktów rolnych, zwierzęcych i leśnych, sposobów spławu i lądowego transportu oraz fiskalnego i wojskowego ustroju Rzeczpospolitej w dobie jej najwyższego rozkwitu.

J. T.

LITERATURA i SZTUKA.

Literatura rosyjska a Polacy.

Pod powyższym tytułem zjawił się w Nr. 72 *Rieczi* obszerny artykuł, w którym p. I. Clemens stara się uzasadnić nienawiść Polaków do literatury rosyjskiej. Sprawozdawca *Rieczi* uczynił mi honor, cytując moje zdanie o literaturze rosyjskiej, zdanie, które pozwoliłem sobie wypowiedzieć w *Sfinksie*, pisząc o powieści Arcybaszewa „Miljony". Przytoczone zdanie, będące końcowym zwrotem mojej oceny „Miljonów", brzmi, jak następuje: „Bierzcie ostrożnie do rąk tę literaturę, paraliżującą radość i odbierającą wiarę w nieskończoną potęgę człowieka, tworzącego z siebie nieskończony świat". Pan Clemans ostrzeżenie to uznaje. „Nienawiść" Polaków do literatury rosyjskiej ma za wytłumaczoną. Lecz — błędne podaje tej nienawiści powody.

Wpływ literatury rosyjskiej w Polsce jest dość duży, nie tak jednak wielki, jak sądzi pan Clemens wraz z niektórymi autorami polskimi. Zdaje mi się również, że „nienawiść" polska do literatury rosyjskiej nie ogranicza się wyłącznie do ostatniego okresu twórczości rosyjskiej na tym polu. W sferę naszej nienawiści wchodzi i wczorajszy Dostojewski, esencja rosyjskości... Sołowiewa nie znamy... Łomonosow, z którym rozstaliśmy się raz na zawsze w szkole, był przesiąknięty niemczyzną i jego ojczysta Rosja zna go dziś tylko z nazwiska... Karamzina, Dzierżawina, Fon-Wizina, Żukowskiego, Gribojedowa nie pamiętamy. Co się tyczy innych... ukraińskiemu autorowi „Martwych dusz" chętnieśmy zapomnieli „Tarasa Bulbę" za jadowite portrety Rosjan łapowników, złodziei, próżniaków, oszustów, bydlaków, tępaków i za jego poetyckie opowiadania o Wijach, djabłach i staroświeckich dziedzicach. W Puszkinie widzieliśmy jedynego w Rosji wielkiego poetę; jemu i Lermontowowi zawdzięczamy pierwsze wzruszenia, czysto artystyczne przy studjowaniu w rusyfikatorskiej szkole dziejów literatury rosyjskiej. Nie mówię o Kryłowie, o tym rosyjskim Krasickim na miarę Lafontaine'a. Któż z nas do dzisiejszego dnia nie pamięta bodaj początku „Diemianowej uchy!" Szczedryn... ech, Szczedryn! Prześladowany w Rosji szlachetny satyryk-publicysta, rozwlekły, więc nudny, a więc czytany u nas mało. Bestużewa, Gonczarowa i tylu zresztą innych nie czyta się w Polsce dla tej jedynej przyczyny, że już nie żyją, że trzeba czytać zastępy nowości: Andrejewa, Kuprina, Arcybaszewa, Andrzeja Białego, Saszę Czarnego, Maksyma Gorkiego, Mereżkowskiego, Brjusowa, Balmonta, etc. Z pisarzy zgasłych czytany bywa w Polsce Turgeniew i Dostojewski. Zwłaszcza ten ostatni. Wszystkie jego dzieła obecnie wychodzą w przekładzie na język polski. Dostojewski jest doskonałym typem Rosjanina... Kto dokładnie pozna jego gienialny twór literacki, dla tego dusza rosyjska niema tajemnic. Z mało znaczącymi wyjątkami, literatura typowa rosyjska, można rzec, iż wyczerpuje się przez tego wielkiego kacyka. On jest jej czarnym słońcem. Słońcem niewolników. My w ciemnych promieniach tego strasznego słońca żyć nie potrafimy. Inni pisarze rosyjscy są planetami z tej samej substancji, tylko pomniejszych rozmiarów. (Wyjątek stanowi poniekąd Puszkin).

Pan I. Clemens twierdzi, że „nienawiść" Polaków do literatury rosyjskiej wynika z *nienacjonalności* literatury rosyjskiej. Że literatura polska, jako jedyna ostoja polskości, przesiąknięta jest nawskroś *nacjonalnością*, że Wyspiański obdarza rodaków „gienialną nacjonalną apokalipsą i proroczą jeremiadą (*Wyzwolenie, Wesele*)", Reymont jest autorem chłopskiej nacjonalnej epopei „Chłopi", Żeromski daje „Dumę o Hetmanie", Konopnicka narodową epopeję „Pan Balcer w Brazylji", etc, etc, etc.

Myślę, że p. Clemens tym rozumowaniem popełnia zasadniczy błąd. Powód „nienawiści" tkwi daleko głębiej. Najpierw — literaturę rosyjską współczesną uważam za narodową, t. j. za taką, jaką naród rosyjski jedynie mógł wydać z swoich rosyjskich trzewiów. Po drugie — polskość literatury polskiej nie polega bynajmniej na opracowywaniu przez polskich pisarzy tematów polskich, i wartość dzieł poetów polskich jest wysoka nie dla ich nacjonalistycznego ducha, ale dla talentu czy gienjuszu, jaki je objawił. (Można być równie wielkim patryjotą, jak Mickiewicz, i nie móc napisać „Dziadów").

Myślę, że Polacy „nienawidzą" literatury rosyjskiej właśnie za jej *nacjonalność!* — w znaczeniu psychologicznym tego słowa, nie zaś w politycznym. A dzieje się właśnie tak dlatego, że Polacy są narodem o duszy zachodnio-uropejskiej, czyli są narodem z natury swojej pogodnym, twórczym i wolnym, gdy Rosjanie — powiedzmy krótko — przeciwnie. My nie obdarzamy nienawiścią twórczości francuskiej, angielskiej, norweskiej, nawet twórczości naszych zaciekłych politycznych wrogów, Niemców! My umiemy kochać Goethego, Schillera, umiemy cenić Dehmla, Schlafa, Henryka i Thomasa Mannów, Hauptmana. v. Hofmansthala, Kellermana... a odwracamy się od twórczości narodu rosyjskiego.

Dlaczego?

W artykule, cytowanym przez p. I. Clemensa w *Rieczy*, pisałem między innymi:

„Gdyby kto zapragnął współczesną literaturę rosyjską scharakteryzować jednym tylko słowem, ten by powiedział o niej: zmora."

Literatura rosyjska jest zmorą. I nic w tym dziwnego, bo przecież człowiek, który ją wydawał, to taksamo zmora, a według praodwiecznych praw świata, puhacz rodzi puhacza... Mistyczne łono, w którym się lęgła śród krwawych boleści straszna literatura rosyjska, dusza Rosjanina — nie duszą jest, lecz zmorą. Rosjanin nie zna duchowej pogody, nie zna beztroskiej radości, bachicznej orgji; artysta rosyjski nie zna twórczego szału; jego Dyonizos szaleje wprawdzie, ale jak niedoszły samobójca; jego uroczystości Dyonizyjskie nie są świętami płodności i wiecznego bujnego życia, lecz dziką czarną mszą zniszczenia, lecz dytyrambem rozpaczy, Bachus rosyjski upija się wódką, nie cudownym sokiem *sema*, w którym mieszka bóstwo, i Bachus rosyjski klnie zajadle matkę, symbol odmładzającego się wciąż, w nieskończoność, życia... Barbarzyńca — obawia się życia, bo nosi w sobie wieczny strach, bo, jako barbarzyńca nie ma jeszcze duszy, ale ma już zmorę. Nieszczęsna to dola, dola Rosjanina, dwa tylko mającego krańce: niewolnik albo anarchista. Przerażoną głowę okręca bolesną mistyką i chodzi od stacji samobiczowań do szynku, kolejno kąpiąc religijną extazę w oczyszczonej wódce i trzeźwiąc się z zaparciem się godności ludzkiej przed swoim chrześcijańskim Bogiem średnich wieków".

„Nienawidzimy" literatury rosyjskiej, bo—nienawidzimy mroku jej narodowej duszy; bo nienawidzimy niewolnictwa, wszczepionego w krew rosyjskiego narodu; bo dzisiejsza Rosja nie jest narodem Piotra Wiel-

kiego, chociaż się takim być mniema, ale jest narodem Iwana Groźnego, który w księztwie Moskiewskim zabił niepodległość ducha, tracąc najszlachetniejszy żywioł bojarski — i zaprowadzając opryczynę, to niemal fantastyczne wojsko szpiegów i katów zarazem. W ów okropny czas, jak w kolebie strachu narodziła się dzisiejsza literatura rosyjska.

Na rozkaz Piotra Pierwszego naród rosyjski zapożyczył formy europeizmu i — jak powiada Bielinskij — stał się... parodją europejczyka. Niczym, niczym więcej. Wyrwano mu brodę, o którą bardziej dbał, niż o głowę! Zniósł tę obelgę, ponieważ mówił o sobie: „My Bożji i Cariewy" (należymy do Boga i do cesarza), więc wszystko znosił niewolniczo. Groźny rozkaz Iwana zahypnotyzował naród; naród stracił wolę, oddał się bez zastrzeżeń w żelazne ręce autokracji i dotąd trwa w ślepym posłuszeństwie. Każdy Rosjanin dzisiejszy przynosi z sobą na świat dziesięcioro mistycznych przykazań, z których pierwsze brzmi: *czyn czyna paczytajet.* Zdarza się i bunt... smutny bunt niewolników, nie zaś bunt ludzi z urodzenia wolnych, będących w niewoli. Inna jest zgoła rzecz dostać się do niewoli po zaciekłej walce, a inna rzecz być niewolnikiem z instynktu (*vide* świetne artykuły w *Rieczy* Mereżkowskiego „Gałowka wisniet", „Tarżestwujuszczaja świńja"...). Dlatego i my i cały Zachód „boimy się" — jak tego chce p. Clemens — literatury rosyjskiej. Dzieje narodu polskiego są pogodne, pogodne do lekkomyślności; Polska wydawała bohaterów, jakby z słonecznego poematu, dla których mogłoby się zdawać, iż niema innego miejsca urodzin i życia, oprócz legiendy i wyobraźni poety. Wielki Dostojewski, polityczny ex-katorżnik, synteza rosyjskości, błogosławi knut! Wielki Inkwizytor z „Braci Karamazowych" mówi o radościach niewolnictwa i o... okropnościach wolności! Jakżeż mają kochać literaturę rosyjską narody z ducha wolne!! Dziwią się jej. Sąsiedzi dalsi — Francuzi, Anglicy, Włosi, Niemcy — oceniają talenta i oglądają twórczość rosyjską z zaciekawieniem, niby zamorskie dziwadło, książki rosyjskich autorów biorą do ręki ostrożnie.

My postępujemy taksamo. My, którzy przynosimy z sobą na świat wiarę w wszechmocność człowieka, my was nie rozumiemy, was, którzy jesteście dziećmi Beznadziei. Nasza literatura nie tym się różni od waszej że jest patryjotyczna, ale tym, że jest zachodnioeuropejska. Te kilka słów wyjaśnienia w „literackiej" sprawie polsko-rosyjskiej, uważałem za wskazane wydrukować, chociaż z opóźnieniem, w odpowiedzi na artykuł p. J. Clemensa, który acz mylną upatrzył gienezę omawianej wyżej, dostrzeżonej przez się „nienawiści", to jednakże nie wychylił się ani na chwilę z granic poważnej krytyki, a upatrując winę w nienarodowości (niepatryjotyczności) literatury rosyjskiej współczesnej, karcił tę literaturę, nam okazując głębokie uznanie.

Wacław Grubiński.

Maciej Wierzbiński: **Zakazana muzyka.** Warszawa, 1910.

Są książki, o których coś powiedzieć można tylko pod świeżym wrażeniem. Wrażenie to od samego początku słabe, nikłe, wkrótce ulatnia się zupełnie. Po paru tygodniach należy książkę powtórnie przeczytać, by móc o niej cokolwiek powiedzieć.

Pozbawiona wszelkiej treści myślowej, ta właściwa literatura „nadobna" niczemu się nie przeciwstawia, o nic nie walczy — faktem swego istnienia utwierdza *statu, quo ante.* Nie poruszając i nie stwarzając żadnych zagadnień, ślizga się po powierzchni życia, podpatruje lub buduje w wyobraźni pozy i sytuacje życiowe; współczuje opisywanym ludziom, lub bawi się niemi, jak marjonetkami, lub kpi z nich złośliwie—to wszystko zależnie od osobistych upodobań, skłonności autora, operując wyłącznie pozą, giestem, nastrojem, uczuciem nie sięgającym głębin, źródeł życia, nie obejmuje całości duszy ludzkiej — pławi się w banalności; zdobna w poprawną, niekiedy wykwintną formę stylistyczną może być przyjemną rozrywką w chwilach wywczasu, miłym posser le temps dla inteligientnych próżniaków.

„Zakazana muzyka" to historja artysty-skrzypka Szydłowskiego, wzruszająca przez cały ciąg czytania. Szydłowski powodowany miłością dla swej Flory, o tyle pięknej, o ile bezmyślnej, dopuszcza się malwersacji, za co dostaje się do więzienia. Koniec noweli aż nazbyt literacki: „pęknięcie *pętlicy* w zwojach mózgowych" i obłęd. Sytuacja wielokroć już wyzyskana w literaturze. To samo można powiedzieć o innych nowelkach p. Wierzbińskiego: udatne, miejscami wykwintne wykonanie banalnego pomysłu.

P. Wierzbiński celuje w jednym: pięknie opisuje piękne kobiety; umie uchwycić subtelne różnice urody kobiecej, uwydatnić indywidualny wdzięk; jest w tym znawstwo i smak, kultura artystyczna, choć wielce jednostronna, przyznać należy. Ten kunst—prawdziwie „moderne", spopularyzował się bardzo w ostatnich czasach; błyszczy się, lśni na szerokiej fali talentów, talencików — najpowszedniejszej i najpoczytniejszej literatury.

P. Wierzbiński powinien być w obecnej dobie bardzo poczytnym pisarzem.

Wł. G.

Z Wystawy Sztuk Pięknych.

Na obecnej Wystawie Towarzystwa Zachęty Sz. Pięknych w Warszawie po raz pierwszy z większą ilością obrazów wystąpił p. Ignacy Pieńkowski, niedawno mianowany prefesorem szkoły warszawskiej.

Szkoła zyskała w panu Pieńkowskim pedagogiczną siłę niepoślednią. Nowy profesor bowiem posiadł w dużym stopniu kulturę artystyczną, czym, niestety, nie wszyscy pedagodzy warszawscy poszczycić się mogą.

Pieńkowskiego poznałem przed dwunastu laty w szkole Stanisława Grocholskiego w Monachjum.

Młody uczeń uważany był za jednego z najzdolniejszych Polaków, widziano w nim talent pierwszorzędny, siłę artystyczną wiele obiecującą Istotnie, odznaczał się łatwością techniczną i zapałem do pracy. Niezależność materjalna pozwalała zresztą na dłuższe studja za granicą. Artysta mógł się doskonalić. Z Monachjum śpieszy do Paryża, gdzie zapisuje się do akademji prywatnej.

Paryskie studja szkolne i szkice Pieńkowskiego wróżyły, że autor ich może niebawem dać obraz, który mu przyniesie rozgłos i postawi go w rzędzie pierwszorzędnych artystów.

Nieprędko jednak przepowiednie te sprawdzić się miały.

Przez szereg lat zdawało się, że Pieńkowskiego opanowała jakaś niemoc; oprócz paru portretów, jednej i tej samej osoby, kwiatów i martwej natury nie namalował nic innego.

Na wystawie warszawskiej spotykamy portret tej samej osoby, który, jeżeli się nie mylę, widziałem już w salonie paryzkim; pozatym martwa natura i studja pejzażowe.

Bez wątpienia szkice te wykonane są z dużą finezją.

Portret jest dobry w tonie, szkoda tylko, że artysta akcentował zbyt silnie linje w rysunku postaci. Przez co obraz wyszedł zbyt twardo.

Pejzaże, jak zawsze u nas, zajmują wiele miejsca na wystawie — oprócz głowy kobiety (Elenai) przecudownej w wyrazie, jak zawsze u Malczewskiego, zmanjerowanych w rysunku szkiców Sichulskiego, mających wyobrażać znanego artystę Solskiego w rolach „Frydryka i Dymitra", spotykamy same widoki i widoczki, a więc: subtelny w kolorze „młyn" Popowskiego, dobry „zachód słońca" Noskowskiego i trochę brudną „noc" Straszkiewicza — a wreszcie szkic Cwiklińskiego, Skoczylusa i Stankiewiczówny. Stanisław Jarocki wystawił „Na Fali", obraz, mający wyobrażać wylew rzeki, której prąd unosi kobietę w łódce. W stosunku do rozmiarów figury, łódka jest zbyt mała—postać zaś kobiety malowana jest w oświetleniu pracowni i dlatego odrzyna się od tła twardo i niezrozumiale.

Zauważyłem wogóle, że najsłabszą stroną pana Jarockiego jest rysunek.

Trzebiński dał cały cykl akwarel z podróży ostatniej do Włoch. Artysta od kilku lat odbywa wycieczki po rozmaitych miejscowościach w kraju i zagranicą, znanych z zabytków architektonicznych.

Do niedawna szkice swoje wykonywał artysta olejno; były one zbyt twarde i „piernikowate" w kolorze, te same wady występują jeszcze w niektórych dzisiejszych akwarelach, jak „Zatoka Neapolitańska" i „Katedra na Cupri". Inne akwarele, które widziałem na wystawie, świadczą o wielkim postępie w technice. „Podwórko włoskie" zaś zaliczam do bardzo szczęśliwie wykonanych szkiców.

Z rzeźbiarzy wzięli udział: Dunikowski i Certowicz

Pani Czertowicz zajęła całą salę. Prace te zyskałyby niewątpliwie duże uznanie, gdyby artystka mierzyła zamiar wedle sił, „a nie siły według zamiarów". Artystka bowiem w opracowaniu szczegółów wykazuje dużo sumienności, natomiast w kompozycji nie zawsze umie sprostać zadaniu.

Dunikowski wystawił znany z zeszłego roku portret aktora Kamińskiego i Zwiastowanie, szkic rzeźbiony w białym drzewie.

Feliks Ciszewski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* DOKOŁA GRUNWALDU. Główny organ warszawskiej demokracji narodowej nie „wyłączył" bynajmniej „za nawias" narodu konserwatystów krakowskich, którzy zrobili, co mogli, aby rozmiary obchodu zredukować; natomiast „wyłączył za nawias" doktrynerów skrajnej lewicy, którzy, jak wiadomo, wstrzymali się od udziału w uroczystościach. *Gazeta Warszawska* ujawniła tak jaskrawą stronność, że aż się sama tego zawstydziła i na zarzuty pism postępowych odpowiadała dość słabo. Co do nas — nie mamy bynajmniej zamiaru bronić nieprzejednanych doktrynerów, stanowisko nasze wobec obozu *Trybuny* wyjaśniliśmy dostatecznie i sądzimy, że odezwa „grunwaldzka" nie przysporzy tym żywiołom ani popularności, ani wawrzynów.

Ale potępiając absenteizm socjalnej demokracji winna była *Gazeta Warszawska* odnieść się z należytym zrozumieniem i *taktem* do tych nierównie liczniejszych grup robotniczych, które pod wodzą Daszyńskiego defilowały na Błoniach, chyląc sztandar czerwony przed królem—zwycięzcą. Cóż jednak czyni poważna *Gazeta*? Oto drwi ze sztandaru, co zamiast „bujać po nad trony", chyli się przed monarchiczną przeszłością Polski. Słusznie zauważa z tego powodu *Kurjer Poranny*, że ta niewczesna i tania ironia nie będzie dla galicyjskich socjalistów zachętą na przyszłość, do łączenia się z resztą społeczeństwa w obchodzie narodowych pamiątek, a dla naszych skrajnych społeczników będzie stanowić jeden argument więcej wyjaśniający dlaczego zajęli wobec obchodu stanowisko krytyczne.

Jeśli kojarzenie pamiątki grunwaldzkiej z jagiellońską ideą dynastyczną byłoby niedorzecznością taktyczną, to znów grubym fałszem historycznym ze strony klerykalistów jest wprowadzane do epopei grunwaldzkiej *par force* czynników katolickich, których tam nie było.

Już to wogóle staraniem pobożnych dziejopisów, rozpostarto nad przeszłością Polski grubą mgłę mistyfikacji. Dużo upłynie czasu, zanim Wolna Myśl zdoła i te warstwy prześwietlić ścisłem badaniem. A i dziś tu i tam przedsiębrane są próby. Oto Marja Aleksandra Walewska, jeden z nielicznych u nas dostojnych umysłów kobiecych, na szpaltach *Myśli Niepodległej* takie czyni odkrycia:

W XIX w. rozpoczęły się zmagania Łokietka z Krzyżakami. Łokietek zwrócił się do papieża z prośbą o interwencję w sprawie zagrabionego przez Zakon Pomorza. Papież uprzejmie zwołał komisję do Brześcia Kujawskiego oświadczając, iż: *wyrok jej będzie bez apelacji*. Komisarze rzucili klątwę na Zakon; mimo to biskupi jej ogłosić nie chcieli, a gdy zniecierpliwiony Łokietek rozpoczął wojować już mieczem a nie słowem — w dodatku mieczem zwycięskim — papież Jan XXII ojcowskim listem nakłonił go r. 1332 do rozejmu. Później nakazał Kazimierzowi Wielkiemu, aby rozejm ten przedłużył. Zbyt silną i zbyt groźną dla Zakonu była wówczas Polska!! Potrzebowała tylko rękę wyciągnąć i byłoby pobite Krzyżactwo zwróciło Pomorze; ale Ojcu św. zgoła na tym nie zależało. Przeciwnie... Wielkie dziesięciny dawała ziemia Pomorska, a chociaż Ojciec św. wtedy nie nosił jeszcze urzędowego tytuły Więźnia i Żebraka, brał chętnie, cokolwiek mu dano. (Wiadomo, jak potrzeby „Kościoła" są ogromne...). Zwołał więc Komisję do Warszawy r. 1339 a ta ogłosiła wyrok, iż ziemie: Kujawska, Dobrzyńska, Chełmińska, Pomorska i Michałowska mają być bezzwłocznie Polsce zwrócone, papież atoli... *nie podpisał wyroku*, natomiast wpłynął na Kazimierza, aby zawarł ugodę z Krzyżakami, odstępując im, z największą szkodą kraju, ziemie: Chełmińską i Michałowską: co jako akt *podpisał już... aż nazbyt skwapliwie*.

Przed Grunwaldem bił Jagiełło Krzyżaków. „*Wstrzymał go jednak Jan, biskup lozański, nuncjusz papieski, błagając, aby zawarł rozejm dwuletni i sprawę oddał pod wyrok soboru Konstancjeńskiego*". „*I tak Zakon znów został uratowany*". (Encyklopedja kościelna, tom XI). Sobór potwierdził rozejm — ba, nawet potwierdził wszystkie szczególne przywileje „duchowe" Zakonu, od wieków nadawane mu przez papieży, i zamianował „konserwatorów" tychże przywilei (arcyb. moguncki i dwuch innych). Ponieważ wtedy jęli Tatarzy grozić Polsce, król zgodził się na wyrok soboru, przyznający Krzyżakom Pomorze, chwycił się jednak pierwszego lepszego powodu, aby, znowu się wzmocniwszy, Zakon zaczepić. Papież jednakże czuwał niezmordowanie. Spostrzegłszy niebezpieczeństwo grożące zakonowi, zażądał rozejmu po raz niewiadomo który, obiecując „sprawę rozpatrzyć". Nuncjusz Antoni Zeno, człowiek nie rozumiejący się na finezji papieskiej dyplomacji, lekkomyślnie zniósł wyrok soboru, za co... odwołał papież Zenona i nałożył nań pokutę kościelną. Zostało wiele bull papieskich, wiele listów, groźnie się za Krzyżakami ujmujących — więc dokumenty Eugenjusza IV, Marcina V, projekty Leona X, aby Zakonowi oddać w lenno Podole, i jego grubiański list do króla Zygmunta I, „*wyrzucający mu niechrześcijańskie usposobienie ku Krzyżakom*"—wiele świadectw zebrała Historja, podkreślając aż nazbyt jaskrawo stanowisko Kościoła katolickiego.

* Mimo wytrawnej presji kół klerykalnych, sprawa ks. Kominka, sądzona d. 11 lipca w Warszawskim sądzie okręgowym, znalazła szeroki oddźwięk i stosowne

oświetlenie. Sąd koronny skazał małżonków Binenda na 3 lata zamknięcia, jako winnych zamachu... Ale jednogłośny wyrok opinji potępił oskarżyciela i to tak stanowczo, że nawet potulny *Kurjer Warszawski* ściągnął na się niebywałe gromy kalchasów za współczucie dla sprawców zamachu... Sprawozdawca *Myśli Niepodległej* także czyni w tej kwestji uwagi:

Gdy sądzisz, że cię ksiądz skrzywdził, pisze Prus, nie „szkaluj“go po pismach, ale poskarż się na niego do biskupa... A tu tymczasem sam ksiądz posyła do sądu adwokata przysięgłego Trejdosiewicza. Złamał mi życie człowiek, mieniący się księdzem, wołała Konstancja Binenda... Sza radzi Prus. Sza, nawołuje prasa konserwatywna. A jakie tego skutki? Oto ludzie, doprowadzeni do rozpaczy, nie mogąc nigdzie znaleść obrony przed swą krzywdą, chwytają się z rozpaczy środka zbrodniczego. Sza, upomina prasa konserwatywna. Aż tu też wyrasta marjawityzm. Te zakusy rusyfikatorów, tłumaczy światu prasa konserwatywna i klerykalistyczna... „Szkalują księży po pismach“. wywodzi Bolesław Prus. Kto nie ma religji, pisze w „Wirach“ Sienkiewicz, ten zdolny jest do popełnienia wszelkiej zbrodni... Pojedź, mistrzu Henryku, do Czerniakowa, albo poproś naszych prawników, by ci pokazali wszystkie akta wszystkich spraw tego, który owej religji jest ustanowionym trybularzem. Pofatyguj się do nas na czwarte piętro, mistrzu Bolesławie, i przejrzyj te stosy skarg ludu polskiego na wyuzdanie księży! Sądy otwierają drzwi na oścież, by społeczeństwo słyszało, co się dzieje, a mistrze literatury skubią pióra swoje na „bawełnę w uszach od ludzkiego jęku“ i tłumaczą, że to są plotki masońskie... *Venit judicium!* Tak, przyjdzie *sąd czasu!* Cha, cha. cha — śmieją się patentowani obrońcy interesów ludu—wolni myśliciele w braku lepszego zajęcia staczają homeryczne boje z Panem Bogiem... Wolna Myśl w Polsce jest w zupełnym rozkładzie... A Wolna Myśl zaświadcza tylko: widziałam w sądzie wynędzniałą kobietę z ludu, otoczoną żołnierzami z obnażonymi szablami; w przepełnionej sali owa wynędzniała kobieta z ludu, podnosząc rękę w stronę „sługi ołtarza“ wołała: złamał mi życie człowiek, mieniący się księdzem!

* W ostatnim (6) numerze *Przeglądu Narodowego* p. Antoni Sadzewicz czyni rewelacje o stosunkach polsko-rusińskich na sposób Moryca Rothenberga. Bo posłuchajmy:

Za namiestnictwa Kazimierza Badeniego i przy współudziale d-ra Michała Bobrzyńskiego, jako vice-prezydenta Rady Szkolnej Krajowej, stworzono Rusinów t. zw. inkamerowanych czzli rządowych. dając Rusinom wzamian szkoły średnie, co stało się podstawą ich dalszego rozwoju Michał Bobrzyński dał „Ukraińcom“ nietylko szkoły, ale i język, przeprowadzając uznanie t. zw. fonetyki, jako drugiego języka krajowego. Rusini „inkamerowani“ stracili jednak rychło wpływ na własne społeczeństwo, lub przeszli do obozu radykalnego. Badeniowska era ugodowa skończyła się wybuchem strajku rolnego w r. 1900, pod hasłem: „Za San, Lachy!“ Następnie namiestnicy: Leon hr. Piniński, a w większym jeszcze stopniu Andrzej hr. Potocki, trzymali się zasady postępowania ściśle legalnego, ale nie szukali poparcia „Ukraińców“, starając się ich raczej szachować „Starorusinami“ czyli moskalofilami. Gdy Andrzejowi hr. Potockiemu udało się na terenie sejmowym stworzyć z moskalofilów poważniejszą przeciwwagę „Ukraińcom“, chwycili się oni środka rozpaczy ostatecznej—zamordowali Andrzeja hr. Potockiego. Zbrodnia ta była jednak pośrednią wskazówką, że polityka Andrzeja hr. Potockiego była skuteczna, że „Ukraińcy“ czuli się nią poważnie zagrożeni, skoro chwycili się środka ostatecznego — terroru. Niestety, następca Andrzeja hr. Potockiego nie kontynuował jego polityki, lecz wrócił do tradycji ery Kazimierza Badeniego, zaczął snuć dalej nić własnej, przerwanej po ustąpieniu Badeniego, polityki „ugodowej“ względem „Ukraińców“. Z jeszcze gorszym, aniżeli dawniej, skutkiem, nie wytworzył bowiem wśród „Ukraińców“ nawet cienia partji, której programem byłoby zgodne pożycie z żywiołem polskim. „Ukraińcy“ brali jako rzecz należną wszystko, co im dawał namiestnik, i stawiali coraz nowe żądania, głosząc przytym otwarcie, że ostatecznym celem ich dążeń jest zupełne wyparcie żywiołu polskiego z Galicji wschodniej. Metody radykalne zyskiwały coraz większe uznanie wśród wszystkich warstw społeczeństwa „ukraińskiego“. Gdy zamordowano namiestnika Andrzeja hr. Potockiego, z pośród „Ukraińców“ nie rozległ się ani jeden głos protestu albo potępienia. To samo widzimy i teraz: z napadem młodzieży na uniwersytet solidaryzuje się całe społeczeństwo „ukraińskie“; na pogrzebie Kocki obecni są wszyscy posłowie, delegacje wszelkich stowarzyszeń i mnóstwo duchowieństwa, w tej liczbie kilku kanoników. Moralnymi sprawcami napadu są niewątpliwie posłowie, oni też są najżarliwszymi obrońcami wykonawców napadu.

Nie może więc być mowy o tym, aby dotychczasowa polityka namiestnika Michała Bobrzyńskiego prowadziła do jakiegokolwiek celu.

Trudno wprawdzie dziś mówić o wznowieniu *à la lettre* polityki Andrzeja hr. Potockiego, gdyż agitacja hr. Bobrinskiego ogromnie skompromitowała Starorusinów w oczach rządu austryjackiego; w każdym jednak razie ostatnie zajścia na uniwersytecie lwowskim powinnyby spowodować poważny namysł w sferach kierowniczych polskich w sprawie dalszego zachowania się względem „Ukraińców“.

P. Antoni Sadzewicz jest podobno redaktorem *Gazety Warszawskiej.* Pismo to przedrukowało niedawno wślad za całą prasą artykuł ks. Eugeniusza Trubeckiego p. t. *Współczesne chamstwo.*—Właściwością chama—pisał książę-redaktor — jest zarówno cierpliwe znoszenie poniżeń od wyższych, jak i wyrządzanie ich niższym... Nasz nacjonalizm wykazuje najzupełniejszy brak jakiej kolwiek narodowej treści. Zjadło go chamstwo, a cham, jak wiadomo, niema ojczyzny... Za dawnych czasów, przy pańszczyźnianem prawie, jaki taki starosta wetował sobie szturchańce, odbierane od pana lub rządcy, bijąc bez miłosierdzia podległych mu chłopów. Zupełnie taka sama jest psychologja nacjonalistycznych zapędów w stosunku do obcoplemieńców...“

P. Sadzewicz te trafne uwagi pomieścił w swoim organie. ale ich nie zrozumiał. Tedy wypada powiedzieć mu wręcz, że zalecane przezeń doprowadzanie „do rozpaczy ostatecznej“ Rusinów, że stosowana przezeń miara „skuteczności“ rygoru politycznego aktami krwawego terroru, że jego kult „silnej pięści“ w stosunku do szczepu nielicznego i podległego, a natomiast poza poprawna i układna w stosunku do— —sfer miarodajnych, owa gotowość do uchwycenia i aportowania, z której dotąd nie umiano, czy nie chciano, skorzystać—że to wszystko nie jest ani polityką narodową, ani demokratyczną, ani polską, lecz swojskim wyrazem „*współczesnego chamstwa*“.

Z prasy zagranicznej.

* W sprawie zatargu Hiszpanji z Watykanem, zatargu, który tyle krwi napsuł naszym klerykałom i tyle z ich strony wywołał akrobatycznych wysiłków, aby prawdę pod korcem zataić — w tej sprawie wystąpił ostatnio jeden z najpoważniejszych i najwpływowszych na świecie dzienników, a mianowicie *L'Indépéndence Belge.* Oto konkluzja artykułu wstępnego organu belgijskich postępowców z d. 27 z. m.:

Reformacja, rewolucja francuska i zjednoczenie się Włoch, oto są trzy stadja upadku Kościoła rzymsko-katolickiego. Po tych nieszczęściach Watykan zrozumiał szkodliwość swej doczesnej ziemskiej polityki oraz konieczność ugruntowania się na terenie religijnym, lecz za każdym razem w chwilach podobnego zrozumienia kwestji, pycha klerykalna brała górę i prowadziła ku nowym i próżnym próbom sprzeciwiania się duchowi czasu. Pius X trzyma się niezaprzeczenie najbardziej zgubnych zasad. Pod jego kierunkiem Kościół rz. katolicki zajmuje stanowisko, wykluczające wszelkie ustępstwa ze swojej strony względem tych państw, które jeszcze pozostały katolickimi, a jednocześnie korzy się przed państwami niekatolickimi, poniża się wobec protestanckich Niemiec, ustępuje przed żądaniami protestanc-

kich Stanów Zjednoczonych, poszukuje zgody z muzułmańską Turcją w celu ochrony katolików na Wschodzie. Kościół rz.-katolicki zawiera układy ze wszystkimi swymi nieprzyjaciółmi, zgadza się na wszystkie ustępstwa z heretykami i nie należącymi do religji chrześcijańskiej oraz błaga o opiekę monarchów, którzy dawno już odwrócili się od niego.

W stosunku do narodów katolickich pozostaje on przeciwnie dalej aroganckim i rozkazującym. A ludy, wiedząc doskonale, że czasy butnego zachowania się minęły już bezpowrotnie, odwracają się jeden za drugim plecami do Wytykanu, który nie jest już wstanie sprzeciwić się ich rozwojowi.

Obecna walka Hiszpanji z katolicyzmem jest szczególnie ciekawą z tego względu, że jest oznaką, iż ludy współczesne nie życzą sobie wcale znosić nadal opieki Kościoła rz.-katolickiego. W tym nieszczęśliwym kraju, gdzie duchowieństwo i bractwa zakonne utrzymywały ludność w ciemnocie, wyciskając z niego wszystkie zasoby, rząd liberalny ośmielił się nareszcie upomnieć o pierwszeństwo władzy cywilnej i położył ostatecznie tamę wtrącania się Kościoła do spraw wewnętrznych narodu.

Taki czyn równa się prawdziwemu przewrotowi, gdyż dla jego urzeczywistnienia potrzeba było radykalnej zmiany w umysłach Hiszpanji, potrzeba było głębokiej zmiany w opinji społecznej oraz poglądów osób rządzących państwem, które dotychczas zajmowały stanowisko bardzo życzliwe względem wpływów Kościoła, uważając go za najlepszą ochronę istniejącego porządku rzeczy. Nowy ten nastrój ludu hiszpańskiego, który pozwala gabinetowi Canalejas'a zapewnić tolerancję kultom niekatolickim, powstał pod wpływem przykładu innych narodów łacińskich, mianowicie Francji i Włoch. Narody te, skoro tylko wyswobodziły się z pod wpływów klerykalnych, wnet zaczęły zaprowadzać reformy we wszystkich dziedzinach życia, postępując coraz wyżej na drodze rozwoju i udoskonalenia. Doprowadzona do nędzy, poniżona, tracąca resztę sił na próżne szamotanie się w celu zajęcia utraconego stanowiska, Hiszpanja doszła nareszcie do zrozumienia, że ani dobrobyt materjalny ani żaden postęp nie są możliwe, dopóki lud nie wyzwoli się z pod niewoli moralnej, ażeby módz swobodnie posługiwać się swoją twórczą siłą.

Podobne zrozumienie rzeczy zostało tam już powoli utrwalone i obecnie, gdyby nawet Canalejas, z powodu nieprzewidzianych okoliczności, nie mógł doprowadzić do końca swego programu, to niemniej jednak — co się nie da już naprawić — wpływ Kościoła rzymsko-katolickiego zostanie mocno nadwerężony. Nowy kierunek się utrzyma, i inni wykonają dzieło, rozpoczęte przez Canalejas'a. Zachodzi obecnie zupełna możliwość zarwania stosunków dyplomatycznych pomiędzy katolicką Hiszpanją i Watykanem. I bez względu, czy polityka kurji rzymskiej zachowa nadal stanowisko nieprzejednane, czy też okaże większą gotowość do ustępstwa, znaczenie tego faktu nie może uledz zmianie.

I oto, ponieważ Kościół rzymsko-katolicki nie mógł ograniczyć swojej działalności wyłącznie do sfery religijnej, a dążył uparcie do zagarnięcia władzy, więc też chyli się on do upadku i traci ostatnią z oddanych sobie krain.

KRONIKA.

KLASZTORY PRAWOSŁAWNE W CHEŁMSZCZYŹNIE w ostatnich czasach zajęły się nabywaniem ziemi i gruntów Ponieważ obywatele ziemscy niechętnie sprzedają swe grunty, klasztory zatym zaczęły zwracać się do lubelskiego banku włościańskiego o nabycie na ich koszt gruntów. Grunty te klasztory mają wydzierżawiać włościanom prawosławnym dla wytworzenia dokoła siebie osad prawosławnych.

REFORMA KALENDARZA W ROSJI. Kwestja wprowadzenia nowego stylu w Rosji ma być rozważaną w Radzie państwa w jesieni r. b. Przyjęcie odnośnej ustawy przez Radę Państwa jest zapewnione. Duma zaś zajmie się tą sprawą na wiosnę. Wprowadzenie wszakże nowego stylu w Rosyi napotyka poważne trudności ze strony Synodu.

ZGON. D. 19 Lipca zmarł w Warszawie Maurycy Wortman ur. 1834 r. znany działacz na polu handlowo-przemysłowym. Wortman był prawdziwym twórcą przemysłu cukrowniczego u nas.

HOJNY ZAPIS. W tych dniach zmarł w Wilnie znany działacz społeczny, Henryk Łopaciński. Spadek, wynoszący przeszło 100,000 rb., zmarły zapisał na cele dobroczynne i na uniwersytety: warszawski i petersburski. Wykonawcami woli zmarłego są adwokat przys. Rymowicz i p. F. Tarnowski.

WALKA ZE STOWARZYSZENIAMI OŚWIATOWYMI. Lubelski urząd do spraw stowarzyszeń i związków zamknął oddziały lubelskiego stowarzyszenia oświatowego pod nazwą „Światło" we wsiach: Syry, Samoklęski, w mieście Nowo-Aleksandrja (Puławy), w osadzie Kazimierzu, we wsi Kłoda, Kowale, osadzie Pawłowie, mieście Kraśniku, wsiach Wilkołacz i Ostrowy.

„SPÓJNIA" stow. akad. postęp. młodź. polskiej udziela informacji o warunkach studjów i pobytu w Wiedniu. Zapytania z dołączeniem marki na odpowiedź przysyłać należy na adres kom. wakacyjnej: Wanda Klimaszewska IX Nussdorferstrasse 4 Tür 61. Pod tym adresem należy też przysyłać listy dla Stowarzyszenia i Z. P. M. P.

Książki nadesłane do Redakcji:

— „Bibljoteka Warszawska", lipiec 1910. r.

Treść zeszytu: Eliza Orzeszkowa — autobiografja w listach, z objaśnieniami Antoniego hr. Wodzickiego. — Konfederacja litewska w 1812 roku przez Janusza Iwaszkiewicza. Ruch literacki we Francji przez Orwida. Prawda w sztuce przez T. Jaroszyńskiego. — Edward VII i jego polityka przez Ludwika Włodka Podróż po Guyanie angielskiej przez Witolda Szyszłło. — Piśmiennictwo: J. K. Kochanowski: „Echa prawieku i błyskawice praw dziejowych na tle teraźniejszości przez Wacława Dunina. — Wincenty Lutosławski: Ludzkość odrodzona. — Wizje przeszłości przez Wł. M. Borowskiego. — Jan Rutkowski. „Klucz Brzozowski biskupstwa Przemyskiego w wieku XVII przez J. B. — B. Slaski „Dawne ustawy cechu skórników pruskich i warszawskich" przez J. B. — Kronika miesięczna. — Wspomnienia pozgonne. — Wiadomości naukowe, literackie i bibljograficzne.

— Otton M. Żukowski: „Fryderyk Chopin w świetle poezji polskiej". Z portretem Fryderyka Chopina. Lwów, nakł: księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego Warszawa skład główny E. Wende i Sp. 1910 str. 120.

— St. Brandowski: „Szakale" powieść współczesna. Lwów nakł. księg. Chęcińskiego i Zienkiewicza. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910 str. 246

— Anatol Krzyżanowski: „W godzinie próby". Z dni trwogi i zamętu. Warszawa — skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1910 str. 350.

— Stefan Gralewski: „Ironja Śmierci". Nowele. Ilustrację tutułową wykonał Stanisław Kaczor-Batowski. Nakładem Spółki Wydawniczej Lwów Zienkowicz i Chęciński. Warszawa. i Sp. 1910 str. 230.

— „Widnokręgi" zeszyt IX 10 lipca; dwutygodnik poświęcony kulturze polskiej: filozofji, sprawom społecznym, literaturze, teatrowi, muzyce i sztukom plastycznym. Treść: Dr. Leon Biegelejsen: Nie tędy droga (z powodu zajść na uniwersytecie lwowskim). Marja Płażkówna: Sen. Adam Uziembło: O mowie poetycznej. Dr. Leon Harz: Kompozytorowie Młodej Polski. Br Biegeleisen: Legenda Młodej Polski. Przegląd sztuk plastycznych. Od Redakcji.

— Henryk Wroński: „Pobudki". Wierszy serja wtóra. Kraków 1910. Str. 294.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.